ZYGMUNT WASILEWSKI

PIEŚŃ W GÓRACH

NAKŁADEM TOWARZ. WYDAWNICZEGO »PATRIA« SPÓŁDZIELNI Z OGR. ODPOWIEDZ. SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ZAKŁADU NARODOW. IM. OSSOLIŃSKICH, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 69

Kochanemu
Władysławowi Jabłonowskiemu
Z. Wasilewski
23/X 929

PIEŚŃ W GÓRACH

INNE PRACE TEGOŻ AUTORA:

a) Z dziedziny etnografji:

Jagodne, 1889.

b) Z dziedziny literatury:

Promieniści, Filareci i Zorzanie, 1896.
Śladami Mickiewicza, 1905.
Nowy Konrad, 1906.
Od romantyków do Kasprowicza, 1907.
Z życia poety romantycznego, 1910.
O sztuce i o człowieku wiecznym, 1910.
Dzieła zbiorowe S. Goszczyńskiego, 1911.
Mickiewicz i Słowacki, 1922.
Jan Kasprowicz, 1922.
Seweryn Goszczyński, 1923.
Współcześni, 1924.
Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim, 1927.
Poeci i teatr, 1929.

c) Z dziedziny publicystyki:

Pomnik Mickiewicza w Warszawie, 1898.
Warszawa współczesna, 1903.
Listy dziennikarza, 1908.
W obronie polskiej stacji zagranicznej, 1911.
Myśl przebudowy, 1912.
Orjentacja wewnętrzna, 1916.
Demokracja Narodowa, 1917.
Na wschodnim posterunku, 1919.
O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej, 1921.
Proces Lednickiego, 1924.
Dyskusje, 1925.

ZYGMUNT WASILEWSKI

PIEŚŃ W GÓRACH

NAKŁADEM TOW. WYDAW. «PATRIA» SPÓŁDZIELNI
Z OGR. ODP., Z FUNDUSZU IM. ZB. PADEREWSKIEGO
WARSZAWA 1930

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.

Pnie się ma dusza
płonąca cała...
słodki przejmuje ją dreszcz.
Wszystkie w niej struny porusza
jakaś ukryta potęga,
jakaś nieznana dłoń.

I dusza ma
jak lutnia gra,
radosne hymny śpiewa.

Jan Kasprowicz: „Z gór".

PRZEDMOWA

O motywach tej książki: o własnem wzruszeniu i wogóle o wpływie gór na psychikę, oraz o zależności kultury od współżycia z naturą.

MYŚL o górach jest zawsze dla mnie radosna i niemal uroczysta. Miarę stosunku świata duchowego do wielkich gór mam w swojej pamięci z wrażenia, jakie na mnie zrobiły Pieniny w r. 1903. Po powrocie do Szczawnicy z samotnej wycieczki w głąb doliny Dunajca, czułem nieodpartą potrzebę sformułowania sobie wzruszeń, jakich doznałem. Głowa pałała i zdawała się tętnić muzycznie, a temu tętnu narzucała się zgrubsza treść obrazów, płynąca na fali jakichś uczuć — pragnienia powrotu, czy też żalu, że widzenie mija. Wszystko to łączyło się, tworząc potrzebę uzewnętrznienia.

Wola w takim wypadku idzie za popędem utrwalania miłego wzruszenia: stąd potrzeba zapisania go. I oto zaród poezji. Pod pióro cisną się słowa, chwytające zapamiętany obraz, ale co najważniej-

sza, te słowa układają się w rytmie, nadawnym przez tętno krwi. Powstaje wiersz niby pieśń. Artysta dałby rymy, całość zbudowałby tak, żeby się na wszystkie czasy sama tłumaczyła jasno dla wszystkich. Swoje notatki — nie umiem pisać wierszy — przytaczam, jako doświadczenie, zrobione na sobie, które mi potem dało do myślenia o naturze wzruszeń poetyckich:

Chciałbym w przedwieczorny czas
iść brzegiem cichej wody
i brać do duszy dna
wszystko, co widzą oczy...

Urwisty góry skłon,
błękitne tło oddaleń,
szmaragdowej wody toń —
niechby we mnie miały duszę...

Chciałbym leżeć wśród polany,
gdzie góralski dom z gankami,
widzieć ludzi barwny kwiat
tak radosny, jak natura...

Cygani dziwną grają melodję
i uczą jej swe dzieci:
jest tam tęskny duszy śpiew
i rytmiczny puls wszechżycia.

Rytmu tego słucha dziecko
i taneczny ruch poczyna:
tak się woda w biegu bawi,
tak kołysze krzewem wiatr...

Skrzypków słucha smrek strzelisty
i obłoki przystanęły. —
Krwi tęsknieniem skrzypki grają
i radością wszechistnienia...

Radość życia rodzicielska
uśmiech łaski ma na ustach —
nic nie żąda, wszystko daje
w pierworodnej swej zieleni.

Radość życia w skrzypkach kwili...
Idzie ku nim owiec stado,
a za niemi faun stawa,
czy pasterskiej duszy cień?

Z doczesności wyzwolona
ciągnie tędy ludzka pieśń.
Tutaj Miłość patrzy źródeł,
z których niegdyś poszła w świat.

Każdy w zetknięciu z przyrodą jest poetą po swojemu. U ludu widzimy nawet twórczość, przynajmniej kult pieśni. Lud śpiewa, bo w duszy mu gra. Lud górski wydaje się nam bardziej poetycki, jakby wyżej strojony. Bo też góry czarują duszę, wstrząsająco działają, jako nowość, na człowieka z nizin. Nerwowych narkotyzują, poeci najpełniej wśród nich się wypowiadają.

W książce niniejszej zbieram w całość kilka szkicowych obrazków, aby pokazać, co dzieje się

z duszą ludzką w górach na wszystkich szczeblach kultury. Taniec pierwotnego hucuła, pieśń religijna ludu polskiego, tragedja wielkiego muzyka, loty poetów i przemiany w duszy myśliciela pod wpływem gór — wszystko, co tutaj opisałem, to łańcuch jednego zjawiska poezji, ściśle wplecionej w życie i będącej wskaźnikiem kultury tego życia.

Schodzę umyślnie poniżej literatury pisanej do życia ludu, żeby ujawnić podłoże psychologiczne i zwrócić uwagę na to, jak wielką rolę w poezji gór, będących przecież, jak Tatry, pustyniami, odgrywa pierwiastek ludzki. Poeta dociera do przyrody poprzez lud. I dzieje się tak z potrzeby psychiki poetyckiej. Błędnie to zjawisko tłumaczone bywa tendencjami społeczno-humanitarnemi. One mogą się dołączać, ale może też ich nie być. Ludowość poezji ma źródła czysto estetyczne i jest zjawiskiem, wyjaśniającem prawa socjologiczne twórczości wogóle. Daleko jest bliższa potrzebie wyrażenia poczucia narodowego, niż społecznych tendencyj; jest cechą rodzimości w poezji.

O działaniu gór na wyobraźnię poetycką pisałem obszerniej przy rozważaniu twórczości Jana Kasprowicza*). Powtórzę tutaj niektóre spostrzeżenia, aby była jaśniejsza myśl przewodnia tej książki.

*) „Myśl Narodowa" nr. 34 z r. 1926 i w książce „Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim". Warszawa, 1927.

Bardzo interesujące jest pytanie, jak góry działają na organizację poetycką, zestrojoną w dzieciństwie w nizinach, w widokach poziomych, w widnokręgach wycyrklowanych dokoła z wysokości człowieka. Gdy taki aparat światopoglądowy znajdzie się na wysokich górach, co się z nim dzieje?

Zaznaczę choćby parę momentów: 1) przedewszystkiem zachodzi moment nowości, zakłócający dawne dyspozycje, 2) nagłe transponowanie widoku ziemi z linji poziomych na pionowe, 3) moment ilościowy wrażeń, wymagający innej dozy energji percepcyjnej, niż w warunkach spokoju, jaki sprawiają rzeczy leżące poziomo, 4) jakość tych wrażeń przy silnych kontrastach bezwzględnej ciszy i niesłychanego szumu potoków, światła i ciemności, strzelistości i otchłanności, 5) a nadewszystko podniecające działanie powietrza, które raptownie zmienia stan samopoczucia ustrojowego, zwiększając aktywność ustroju.

Co się dzieje w duszy artysty w tych okolicznościach? Odpowiedź na to pytanie jest ważniejsza, niż ustalenie daty i godziny, kiedy z kim się poznał i słyszał jaką anegdotę. To są momenty decydujące o charakterze twórczości; od niej zaczyna się często nowa era poety.

Poeta dąży ku szczytowi. Wzrok oddaje mu w posiadanie świat coraz szerszy i dziwnie łatwo zdobywany. Ogólne podniecenie ułatwia jego zdo-

bywczość; osiąga przy tej pomocy, nieznanej mu w nizinach, bez wysiłku wielkie wyniki. Sukces ten nastraja ducha na nieskończone możliwości. Podbój świata przez rozszerzanie horyzontów i jednoczesne szybowanie w górę nad chmury, w kierunku siedziby Boga — obie te rzeczy zmieniają w człowieku dotychczasowe poczucie stosunku do ziemi i nieba.

Wrażliwość poety z nizin, gdy się znalazł w górach, doznaje uderzenia, które budzi czujność całej jego istoty. Wrażenia zarówno potęgi, jak i grozy składają się na wzruszenie estetyczne wielkiego napięcia, obejmujące akordami całą istność i oddające pod dyktaturę uczuć zarówno myśl, jak i wolę. Ów tembr nastroju psychicznego w rozkoszy estetycznej subjektywnie jest dla poety już poezją, która w nim się stała i która szukać dla siebie będzie tylko wyrazu w akcie artystycznym. Poezja liryczna jest naprzód muzyką, zanim się odzieje w szaty literackie.

Te stany są pamiętne i prędzej czy później ujawnią się w realizacji artystycznej. Te stany są maksymalne, szczytowe. Z największem napięciem łączy się w nich największe rozpięcie ducha.. Poeta osiąga poczucie, że jest kosmiczną potęgą i zatracając wymiar rzeczy ludzkich, wpada w świat symbolów wymiaru metafizycznego. Typowem zjawiskiem psychicznem bywa tutaj zatarg z Bogiem,

któremu człowiek w takim stanie będąc, czuje się mocen sprostać. Że jest typowem, widać z tego, iż w dawnych czasach dostało się ono do mitologji, a stąd przez Aischilosa do poezji świata. Prometeizm typu greckiego jest rodem z gór. Wyobraźnia, którą góry budzą, była kolebką wielu wyobrażeń religijnych.

W górach objawia się poetom Bóg ze wszystkiemi atrybutami konieczności i nieskończoności. Tak się objawiał prawodawcom religijnym. Tam w poezji polskiej rozmawiał z Nim Mickiewicz i Kasprowicz. Tam w górze człowiek, unoszony na skrzydłach radości, że żyje pełnią swojej indywidualności, nietylko z Bogiem się spotyka, ale i z karą za swoją pychę. Tam człowiek doznaje przełomu moralnego. Tak było już w Zenda Weście:

Skoro na widok przedwiecznego słońca
Zły duch pomyślał o szczęściu bez końca,
Ta myśl ogromna, jako świata brzemię,
Z takim ciężarem padła mu na ciemię,
Że stracił siłę, runął na dół głową
Przez wieki wieków i osiadł na nowo
W samem przepaści niezgłębionej środku.

Motywem zasadniczym tej książki, niejako jej tendencją jest myśl, tak znakomicie uzasadniona przez J. G. Pawlikowskiego, że prawidłowa kultura duchowa prowadzi człowieka z powrotem do

natury, z którą związek zdawał się być utracony. Dobry, oparty na miłości stosunek do przyrody jest sprawdzianem wartości postępów, jakie człowiek robi w swojej kulturze. Gdyby rozwój ducha miał oddalać człowieka od ziemi, gdyby nigdy już nie miało wrócić odżywcze jego działanie, to zgasłaby w człowieku energja twórcza. Liczyłby tylko dni cywilizacji, ile zostaje do końca. Gwarancją jej bowiem jest harmonijne współżycie z naturą.

1929.

1. DO SŁOŃCA

Życie i śmierć w górach. — Taniec huculski. — Dary ducha bez kultury. — Przez kulturę do natury!

NAJDOBROTLIWSZE, serdeczne słońce. Podłożywszy pod głowę zdjęte ubranie, osłaniam oczy od promieni i grzeję się. Poddaję się słońcu z wiarą, że to, co wszystkiemu życie dało — i takie piękne życie — odrodzi mnie. Słodycz ciepła przenika ciało, myśl zrzeka się ruchu na rzecz uniwersalnej pracy duchowej w przyrodzie...

Po kwiatach koniczyny potrzaskuje konik polny. Trawy i drzewa chwieją się od wiatru. Oblatuje mnie oddechem ziemi jego podmuch ciepły i wonny, otula ciało przeczystą tonią powietrza. Odkąd matka usypiała mnie w swem objęciu, nie było mi tak dobrze.

Jestem tu swój, nie dziwią mi się drzewa, które, przemagając siłę ciążenia, wybiegają od ziemi ku słońcu... Czy jest na świecie co piękniejszego od drzew? Nanowo przyglądam się im i zdaje się

pierwszy raz wzrusza mnie ich piękno: kobiecy urok brzozy, muskularność grabu o żelaznym pniu, skromność leszczyny, nawet wrażliwość osiki, drżącej talarkami liści.

Przeczysta i soczysta ich zieleń tworzy z tłem lazuru najnaturalniejsze zestawienie barw. A jednak nic podobnego nie uszłoby w świecie kultury estetycznej. Ktoby z t. zw. ludzi smaku ubrał się w ten sposób?

— — — — — — — — — —

Z mego samotnego wzgórza przez koronkę gałęzi, gdy się wpatrzeć, widać po drugiej stronie doliny drogę. Poznać ją łatwo po ruchomych plamkach przechodniów, których czyste powietrze dziwnie zbliża dla oka.

Oto huculi ciągną z gór. Połyska, jak złoto, żółty zawój na głowie kobiety, jarzy się czerwień spodni hucuła. Kobieta siedzi na koniu, założywszy nogi na sakwy, któremi koń objuczony. Mijają jak widmo. Oto znowu koń, objuczony górami nowych konwi. Jakiś bednarz dostawia towar do miasta. Szedłem kiedyś za takim huculskim konikiem z konewkami i do dziś mam w uszach rytmiczne ich skrzypienie. Kołysze się to na koniu miarowo i skrzypi monotonnie, nawet smutnie. Bo mimowoli widok tego towaru nasuwa refleksje ekono-

miczne. Bednarz odda go za byle co pośrednikowi; ten dopiero zarobi.

Wogóle hucuł zarobkujący, hucuł sprzedający, pożyczający — to jakieś nieporozumienie dla hucuła z góry niekorzystne.

„Dla hucuła niema życia jak na połoninie..." — tak się jeszcze śpiewa popularnie. Ale i tam podmywa go potęga nowego życia ekonomicznego, którego on nie rozumie. Na połoninie żydzi robią już masło i bryndzę. Za kawałeczek sera turysta płaci jak w mieście, chyba że trafi na szałas huculski;— tam podejmowany będzie gościnnie, hucuł grosza od niego nie weźmie.

Za to hucuł bardzo jest malowniczy, zręczny i odważny. Ktoby potrafił wiązać tak tratwy, jak on, i spadać po nich Czeremoszem z Burkutu po pas w wodzie wodospadami?

Tak. Ale po równej rzece spławiają teraz drzewo żydzi także. Może nie tak wdzięcznie.

Wszystkiego można się nauczyć...

Pytałem się raz na wycieczce proboszcza, skąd się wzięły osobliwe wśród hucułów stosunki, że grunty i połoniny przechodzą w ręce żydów. Ni to dzierżawa, ni zastaw. Gazdowie biorą gotówkę jakby tytułem tenuty dzierżawnej, to znów pensji rocznej, a zawsze na to wychodzi, że owa gotówka jest pożyczką. Plony, zbierane przez żydów, liczą

się na procenty, kapitału hucuł nigdy nie spłaca — i ziemia przechodzi wkońcu do żydów.

Otóż to. I huculi nie rozumieją, jak się to dzieje. Sprawa jest trudna. Hucuł pragnie ziemi, ale lubi używać, nęci go gotówka. Zasady i niebezpieczeństwa procentów nijak zrozumieć nie może. Całe życie coś spłaca w naturze — zbożem, krowami, a w końcu gdy dojdzie do sądu, pokazuje się, że kapitał pożyczony nie zmniejszył się. Wszystko jedno, czy się zacznie od 20 guldenów, czy dwustu...

A przytem — opowiada ksiądz — takie przejście własności do żydów bywa starym gazdom nieraz na rękę. Poprostu szukają u żydów opieki. Stosunki w rodzinie bywają przykre. Dzieci czekają na schedę zbyt niecierpliwie; starzy żyją dla nich za długo. Bywa tak, że stary gazda, który ma grunt, wprost obawia się dzieci. To nie żarty, bo (uważa pan — tu ksiądz oko przymrużył) oni tu znają takie zioła, że stary ani się obejrzy, kiedy mu się słabo zrobi. To też, jeśli źle w domu, to gazda woli zrzec się gruntów — żyd mu płaci pensję i jest spokojny. Ma na tytoń, rodzina pracuje cierpliwie...

— — — — — — — — — —

Wszystko zresztą tutaj w górach jest malownicze. Widziałem ciągnące tą górską drogą pogrze-

by: chorągiew, obraz, ksiądz na bryczce, trumna na noszach nad głowami, lud ze świecami...

Pogrzeby wiejskie są stokroć smętniejsze, niż w mieście. Dla ludzi wiejskich to jedyny obraz ponury. Zabierają człowieka ze wsi, w której się urodził i poza którą świata nie widział. Z miasta nie dziw, że coś wywożą, ale we wsi zwykło wszystko tam padać, gdzie się urodziło. Jeżeli chłop boi się śmierci, to myślę — stoi mu przed oczyma własny pogrzeb, jak go ze wsi na marach niosą.

Widziałem w górach księdza, jadącego na koniu do chorego. Przed koniem szedł hucuł w futrzanym serdaku, choć dzień był upalny, i coraz dzwonił. Na chudej szkapinie (widać chory ubogi) siedzi pochyło bardzo stary ksiądz w złocistem obleczeniu, sięgającem koniowi do kolan. Twarz zeschnięta, mała jak piąstka, na głowie czarny berecik — wiekowy, doświadczony staruszek. Niema dla niego drogi zbyt złej. Jedzie wolno, dzwonek oznajmia jego kroki. Snuje się w górę — ot już tam jest wysoko.

Gdzieżby śmierć nie dosięgła!

— — — — — — — — — —

Widziałem też wesele.

Grupka gapiów stoi przed chatą. Pytam, co się dzieje. Wesele. Za godzinę przybędzie pan młody

na koniu, z drużbami, zabierze żonę do domu. A pokąd nie przyjedzie, weselą się goście w domu panny młodej. Oto ona sama z rozpuszczonym włosem. Na głowie wieniec, rękawy szyte czerwono raz koło razu, korali moc, buty z cholewkami z żółtego safjanu. Szczupła, brzydka, ręce koło siebie opuściła i snuje się między ludźmi, jak we śnie. Podobno bardzo płakała od rana — jakiś dramat rodzinny.

Na podwórku ruch. Grajkowie wyszli na ulicę, siedli na stołeczkach pod chruścianym płotem: chudy skrzypek cienko zaczął, a drugi dzwoni pałeczkami po strunach cytry. Gawiedź zapatrzona w grajków. Z dusznej chaty, gdzie zastawa weselna, wysuwają się postacie odurzone alkoholem. Niektóre twarze ekstatyczne.

Dwaj huculi wzięli się za bary i patrząc w ziemię, wytupują przed grajkami drobniutko — próbują. Dobierają między siebie druhnę, pannę młodą, jakiegoś wielkoluda z długiemi włosami i tak wiankiem żywym, trzymając się wzajem garściami za koszule na plecach, obracają się w kółko. Obok tworzy się inne koło. Rej w niem wiedzie niewiasta z twarzą sępa. Poodkładali kożuchy na płocie, rozgrzewają się muzyką — wsłuchani, w ziemię wpatrzeni, szukają zapamiętania. Jedni boso, inni w butach lub w cichych kierpciach, zagiętych jak sanice od przodu, i w ciepłych onuczach. Muzyka

rytm wybija, a ciała drgają coraz automatyczniej, coraz głębiej zapadając w wir ruchu kolistego.

Ten i ów podnosi głowę, jak ptak, który pije w zdroju: śpiewa coś recitativo, splątaną, szybką mową, jakby w wirze odnajdywał cień myśli i pragnął ją wypowiedzieć. Poczem zapada w wir, a nogi jedna obok drugiej drepcą, jakby wiele cepów snop młóciło.

Niewiasta z twarzą sępa, a ciałem pantery, wyróżnia się. W jej kole coraz chyżej. Ciało jej pręży się, wygina w biodrach, elektryzuje innych, nawraca niemi. Śmiga na palcach, pomimo że bosa, a sąsiad rozbił butem palec. Broczy krwią na piasku, ale bólu widać nie czuje.

Taniec przeszedł w obrzęd zbiorowy, w praktykę czarowania rytmem, wywoływania ducha, wspólnego ziemi i ludziom na spodach. Patrzajcie w duszę człowieka pierwotnego! Oto pierwociny natchnień poetyckich — oto pierwsze odruchy sztuki. Z takiego tańca, kolebki sztuk ruchowych, rozrosło się już na świecie wielkie drzewo tworów ducha, a tu jest on jeszcze wszystkiem; nawet śpiewać nie umieliby tego, co świadomość wyłowi ze stanów rozkoszy.

Przedświadoma, śpiąca w mózgach pamięć jakiegoś wielkiego a dobroczynnego dla życia ruchu w naturze, który istnienie ich poprzedził, budzi się w świątecznym nastroju na głos muzyki ryt-

micznej. Uboga indywidualność, jak pąkowie kwiecia przelotnie żyjącego,, rada ze sposobności rozkręcania się i zatracania w przyrodzie.

Oto hucuł tańczy, chwyta rozkosz estetyczną całem ciałem, roztęsknionem do prabytu. Oszołomiony ruchem rytmicznym, ma przed oczyma duszy jakiś wielki lej żywiołu, zsuwający się w nieskończoność. Niesamowity, ekstatyczny nastrój, obcy obecności. Ktoś postronny, patrząc na to, doznaje niepokoju. Smutno mu i trwożnie wobec tego misterjum, którem człowiek, o krok widziany, aniby się podzielić mógł, ani chciał. Obcy czuje po chwili, że niedyskretnie jest podglądać tajemnicę tych stanów i usuwa się.

Oto czemu w życiu ludzi pierwotnych wszystko jest smutne: i pogrzeb i wesele. W świecie dusz radosny widok daje dusza, którą ktoś posiada na własność, — zakończona świadomością indywidualność, władająca sobą. Człowiek pierwotny zaciera własną, nie widzi cudzej, — zatrze ją torem pędu biologicznego.

W oczach mam postać panny młodej, której dusza pewno dziwne sny w tańcu przebywa. Poruszona w dniu ślubu jej indywidualność, poskromiona w buncie, widzi — może — w głębinach wiru tanecznego jeden punkt nieruchomy, nęcący ukojeniem wiecznem dusze biedne...

— — — — — — — — — —

Mógłby mnie kto zagadnąć:

— Cóż za użytek publicystyczny można zrobić z fakcików tak przyziemnych, jak owe wzięte z życia huculskiego? Etnografja!

— Nietylko etnografja! Miałby nad czem zastanowić się tam i socjolog i publicysta. Człowiek społeczny zaczyna się przy samej ziemi; tam jest nas najwięcej. Mówi się przecież za poetą: „Jest w ludzie siła niespożyta, zbawienie leży pod siermięgą"... Nie wszystko rozstrzyga się w sejmie, parlamencie lub na wiecu. Życie cicho, jak trawa, rośnie, cicho się rozkłada. Nawet skała bez katastrof wietrzeje, cóż dopiero życie społeczne, oddane żywiołowi, nie zabezpieczone.

— Zapewne — powie mi kto inny. — Ale pisał pan niedawno o konieczności powrotu do natury. Przyzna pan, że obrazki, które pan pokazał, nie są zbyt zachęcające do tego powrotu.

— Oczywiście. Nawet gotów jestem dzielić zdanie księdza, którego rozmowę przytaczałem, że huculi nie zdatni są do życia, że skazani są na zagładę.

A jednak nie trzeba tracić związku z naturą!

Hucuł jest u natury, że tak powiem, w niewoli tatarskiej, myśmy zaś wejść z nią powinni w stosunek konstytucyjny, zastrzegając *„habeas corpus"* dla swej duszy. Panować nad naturą, to nie zna-

czy tylko zwyciężyć przyrodę technicznie (hucuł potrafi radzić sobie z nią jako tako). Najtrudniejszą do opanowania jest przyroda, która w nas samych się objawia tak zwanemi głosami natury. Trzeba umieć żyć ze swemi instynktami i darami natury, szanować je jako naturalną podstawę swego państwa duchowego, ale gospodarować w nich według praw kultury. I to nawet w zakresie potrzeb fizycznych.

Między wielu niesprawdzonemi aksjomatami powtarzamy twierdzenie: ludzie natury mają zapewnione zdrowie fizyczne, a nawet moralne. Tak nie jest. „Łono natury" jest bierne, samo przez się zdrowia nie daje; człowiek czynnie musi na niem się zagospodarować. Bo gdzież granica potrzeb ducha i ciała? Warunki istnienia na łonie natury są istotnie pomyślne, ale że barbarzyńca jest zdrów, to jest takim p o m i m o, ale nie wskutek swego barbarzyństwa.

Hucuł, aczkolwiek dosłownie nie jest barbarzyńcą, żyje bardzo niehygjenicznie. Nie mówię o takiej klęsce jak kiła, która go niszczy w pewnych okolicach kraju. Hucuł ma rzekę, ale kąpią się w niej tylko dzieci ze zbytków. Ma chatę w cudnem, pełnem ozonu powietrzu, ale tej chaty nie przewietrza, zatruwa się w niej. Nie wierzę, żeby hygjenicznemi były te ciężkie zawoje głów

kobiecych, opakowanie wojłokami nóg podczas gorąca, nawet tak podziwiane kożuchy (serdaki).

A moralność. Cóż bardziej prostego, jak stosunek syna do ojca? Zdawałoby się, że na łonie natury to przynajmniej jest czyste i pewne. Złudzenie! Popęd krwi nie jest wystarczającą podstawą moralności rodzinnej. Jak każdy popęd naturalny może on ulec łatwo byle jakiemu innemu. Po czem poznaje się duszę barbarzyńską? Po tem, że zostawiona jest wolnej grze popędów. Instynkt krwi musi być wcielony w złożoną konstrukcję psychiczną, gdzie się znajdzie pod kontrolą i powściągiem świadomości, obliczającej sprawy na długą metę istnienia. Nałogi moralne w kulturalnej, zautomatyzowanej duszy wytwarzają nowy (wyższy instynkt) — sumienie. Jest to siłomierz naszej moralności; po niem poznajemy: zło—dobro, grzech—cnotę. Hucuł, hołdujący wolnej miłości albo zasadzie zgładzania starców, zapewne w tych sprawach sumienie ma jeszcze głuche. Ale czy przez to moralność jego jest tyle wartą, co nitscheanisty, który na drugim biegunie kultury duchowej dosięgnął sfery „poza dobrem i złem?".

Między jednem „poza dobrem i złem" a drugiem leży cały świat kultury, ciężkich, wewnętrznych walk człowieka ze swemi popędami naturalnemi, aż do przesycenia ich intelektualizmem

i estetyzmem. Dopiero na drugim biegunie człowiek dostojnie wraca do natury, jako jej pan i wolny wyznawca.

Nic fałszywszego od pojmowania natury, jako wartości dla ducha bezwzględnej, w stanie surowym, w stosunku bezpośrednim. W sztuce złudzenia artystów co do naturalizmu są objawem ich barbarzyństwa. *„Ars est homo additus naturae"*. Opisałem wyżej taniec huculą. Od tego tańca, w którym człowiek miota się epileptycznie pod przemocą instynktu bez możności znalezienia intelektualnego wyrazu swemu pięknu, od tego tańca jakże daleko do pieśni, którą tworzy nasz krakowiak!

Należy tu zrobić nawiasem zastrzeżenie co do sztuki zdobniczej, rozwiniętej u huculów.

W pierwocinach sztuk przestrzennych, jak snycerstwo, wypalanie na drzewie, malowanie pisanek, człowiek pierwotny może celować niezależnie od poziomu swej jaźni. Nie jest to sztuka, po której się poznaje dojrzałość duchową. Duch twórczy szczebluje w sztukach przedewszystkiem ruchowych (jak taniec, muzyka, pieśń, poezja), w których składa dowód zdolności uprzedmiotowiania swoich stanów wewnętrznych. Wszystko inne może się rozwijać na gruncie naśladownictwa i wprawy bez udziału poezji. Hucuł robi ładne fajki, tkaniny, rzeźbi stoły, bo jak powiada Morris, mieszkaniec ładnych okolic musi robić sprzęty

estetyczne. Hucuł jest także inżynierem, budowniczym — jak bobry i ptaki. Jak ptaki dziedziczą upierzenie, tak on dziedziczy sztukę zdobniczą.

— — — — — — — — — —

Cóż się dzieje z hucułem w regjonach życia ekonomicznego, społecznego i politycznego?

Zbiorowa moralność, na której opiera się życie zbiorowe w społeczeństwie, wymaga odpowiednio zorganizowanej duszy w obywatelu. Typ dzisiejszego społeczeństwa, nawet w Galicji, nie jest oczywiście modelowany według umysłowości huculskiej, wogóle ruskiej. Nasz gmach jest dziełem oświeconych warstw polskich. Dramatem naszym jest zaniedbanie ludu, ale miejscami położenie jest nad wyraz tragiczne. Taki np. hucuł znajduje się właściwie w gorszym, luźniejszym do społeczeństwa stosunku, niż zwierzyna w lasach. Nad zwierzyną rozciągnięta jest opieka, a huculi wyginą, jeśli dalej tak pójdzie, zanim drogą naturalnego rozwoju wcielą się do organizacji społeczeństwa, jako jego czynniki twórcze.

Cóż z tego, że hucuł obdarowany jest bogato od natury! Znalazł się jednak w tym martwym punkcie rozwoju społecznego, na którym się ginie, jeśli ktoś zzewnątrz sił nie doda. Ma przecież lud ruski swoich kierowników — powiecie. Tak, ale wro-

gom swoim nie należy życzyć takiego obrotu sprawy cywilizatorskiej, cóż dopiero ludowi we własnym kraju.

Działacze ruscy są również ludźmi pierwotnymi, barbarzyńcami tem bardziej złowrogimi, że uzbrojonymi, jakby w nóż, w środki djalektyczne, w stanowiska, ambicje polityczne. Ich budowa intelektualna nie znajduje równowagi w organizacji duchowej. Duchowo są dziećmi natury. Nie dają ludowi koncepcyj złożonych, według których żyją społeczeństwa cywilizowane, wytykające sobie drogę na długą metę, ale grają na pierwotnych instynktach ludu, na tych instynktach, które trzeba dopiero przerobić w dobrej kulturze, aby były siłą społeczną. I sprawiają, że to, co mogło być siłą ludu świeżego, staje się jego słabością. Agitatorzy ruscy spekulują na słabości swego ludu.

Demokratą w świecie cywilizowanym jest ten, kto wchodzi w lud, aby go podnieść ku sobie; u Rusinów, w Rosji, a nawet i u nas w Galicji w sferach radykalnych uproszcza się sprawę — wchodzi się w lud, aby od niego brać pierwotne poglądy na sprawę społeczną, aby każde dążenie demokratyczne zwulgaryzować i w ostateczności nie podnosić społeczeństwa w kulturze, ale je, że tak powiem, schamić. Cokolwiekby się mówiło o przeszłości naszej, to jednak przyznać trzeba, że polskie stosunki kulturalne były jak tyki w chmie-

lu, około których owijało się życie. Ruscy przodownicy lud swój gnoją, własnemi nogami tratują w błocie.

Dosyć posłuchać opowieści o tem, co robili z ludem ruscy kandydaci na posłów. Wiedząc, jaka jest elementarna żądza ziemi u chłopa, obiecywali im ziemię. Przyboczni sekretarze zapisywali z całym cynizmem nazwiska wyborców i cyfry, ile który ziemi pragnie. Każdego zapewniano, że ziemię darmo dostanie. Syci swojej karjery posłowie ruscy pojechali do Wiednia, zostawiając lud ogłupiały od marzeń i żądz, pełen goryczy ku Polakom, którzy rzekomo nie pozwalają posłom ruskim wywiązać się z przyrzeczeń.

Inteligencja ruska patrzy na te operacje „polityczne" ze spokojem barbarzyńców, nie zdających sobie sprawy z krzywd wyrządzanych ludowi. Żeby to rozumieć, trzeba mieć sumienie społeczne wyczulone w kulturze. Gdyby nie brak tego sumienia wśród oświeconych Rusinów, ludność wiejska nie marnowałaby tak swego dobytku. Cóż z tego, że „polityk" ruski obieca chłopu ziemię na księżycu, kiedy nauczyciel, ani ksiądz ruski nie nauczą go ziemi swej bronić od wyzyskiwaczy, a sędzia ruski nie zapobiegnie przejściu nieprawnemu ziemi chłopskiej w ręce żydów.

Smutne opowieści, nieraz bardzo kompromitujące, krążą o interesowności tych opiekunów ludu.

Faktem jest, że połoniny nie należą już do hucułów, że ziemia coraz szybciej wymyka się im z rąk; „opiekunowie" nie kształcą w ludzie cnót społecznych, na których dobrobyt materjalny się wspiera, lecz owszem zainteresowani są w tem, aby lud jaknajdłużej pozostawał pastwą wolnej gry popędów naturalnych.

Biedny człowiek natury, niezorganizowany wewnętrznie, nie przystosowany do złożonych warunków życia społecznego, ginie w oczach, staje się pognojem spekulantów politycznych i kapitalistycznych. Jaki tylko ma w sobie instynkt naturalny, ten staje się jego nieszczęściem, przyczyną rozstroju. Nikt na nim nie buduje, ale wszyscy go ssą.

Wstrętny widok niedorozwoju i rozkładu życia nadorganicznego na łonie pięknej, wiele obiecującej natury!

— — — — — — — — — —

Z przykładów tych widać, że natura w stanie surowym nie jest wartością bezwzględną dla świata, który człowiek wznosi na ziemi. Wartość bezwzględną ma tylko to dla człowieka, co zostało przerobione na jego wewnętrzną własność. Najbogatsze dary naturalne, źle użyte lub zostawione samopas, mogą się stać jego wrogiem, jeśli nad nie-

mi nie zapanuje zorganizowaną myślą i wolą. Bez kompletnego zorganizowania władz ducha, (jakikolwiek byłby poziom naukowego oświecenia), nie możliwa jest równowaga jednostki w życiu społecznem. Taką równowagę ma już w wielu wypadkach ustaloną chłop polski, społecznie poczytalny, panujący nad swemi popędami pierwotnemi, troskający się już o sprawę publiczną, obywatel.

Jakże inaczej dzieje się z człowiekiem natury bezbronnym! Pokazałbym na okaz dorożkarza w Zabłotowie (parobka). Wiecie, jak wygląda? Niczem nie różni się od fjakrów żydów; tak samo ubrany, mówi żargonem, tak jak oni gestykuluje, tak samo bije konie. Ale jest chrześcijaninem, bo to Rusin-hucuł, ucywilizowany po miejsku.

Weźcie hucuła z połoniny, a wraz z serdakiem straci swój cień indywidualności i osobistej, i społecznej, i narodowej, nawet rasowej. Oto jak niepewne są dary naturalne, bez podmurowania kultury.

Człowiek natury jest piękny w poszczególnych motywach, ale całości przydatnej w życiu społecznem nie przedstawia. Trzeba go zrobić indywidualnością samoistną i dopiero wtedy powrócić naturze. Żadne dobro duchowe nie nadaje się do użytku w stanie kopalnym; staje się użytecznością dopiero po przeróbce wewnętrznej w tyglu kul-

tury. Instynkt pierwotny musi być intelektualizowany, a nawet zestetyzowany, organicznie z innemi władzami zharmonizowany, zanim się stanie wartością moralną i społeczną.

A więc przez kulturę do natury!

Jakże poszukiwaną jest prostota towarzyska, a jak do niej daleko od prostactwa! Ile kultury dać trzeba śpiewającemu pastuchowi, aby z niego zrobić śpiewaka! A przecież głos, dany od natury, pozostał ten sam.

Nie wystarcza obywatelowi cnota przyrodzona w instynktach i zwyczajach. Cnotą obywatelską nie będzie np. miłość ludzi w stanie surowym, objawiająca się w pierwotnej gościnności albo filantropji; miłość tę rozszerzyć trzeba, przerobić w złożonym aparacie pojęć i uczuć społecznych i dopiero po tej przeróbce wola jednostki, stale funkcjonująca w myśl interesu powszechnego, staje się obywatelską.

Łudzą się ci, którzy mniemają, że społeczeństwo można stworzyć środkami mechanicznemi, siłą pięści z jednej strony, a z drugiej darowanemi ustawami państwowemi. Społeczeństwo szczepi się w duszach obywateli i hoduje się w długiej kulturze. Dopiero wtedy budowy społecznej nikt nie zakwestjonuje i nikt nie odbierze.

Na życie niezależne trzeba zasłużyć, to znaczy stworzyć je w sobie przedewszystkiem. Świat,

w którym człowiek ze swoim duchem się obraca, jest dziedziną od natury wyemancypowaną. Powstaje on z opanowania darów przyrody i naturalnych popędów na pożytek nieskończonego w świecie ducha rozwoju.

Misterna budowa świata ludzkiego, gdzie już duch tworzy, nie może być powierzana wyłącznie surowym instynktom natury. Wsparłszy ten świat na fundamencie żądzy życia, konstruować go musimy w gotyckim stylu celowości. I tem jest on różny od świata przyrody, gdzie dla nas istnieje tylko przyczynowość.

Nie materjałem już jesteśmy przyrody, ale sami tworzymy nad nią nadbudowę, tworzymy nowe słońce, słońce coraz płomienniejsze ducha twórczego. Potrzebna nam jasność, ciepło i lot twórczy słońca — duch prawdy, dobra i piękna, duch trójjedyny, organicznie zespolony, nie dający się pojąć i użyć w podzielności.

Jedno jest słońce w przyrodzie, jeden duch w świecie kultury — słońce przełamane w człowieku.

Kosów, 1907.

2. U ŹRÓDEŁ

Olza w poezji i w naturze. — Macierzyńska góra polska. — Boże Ciało w Istebnie. — Ondraszek i Juraszek. — Malarz z ludu i muzyk.

I.

CAŁKOWITY tytuł tego szkicu powinien brzmieć: „U źródeł Wisły i narodu", mam bowiem na myśli i początki tej wstęgi wód, która związała nasz kraj, — i lud, z którego wyrasta nasz naród. Dwa pojęcia: jedno geograficzne, drugie socjologiczne — łączą mi się w jeden obraz.

— — — — — — — — — — — —

W roku 1913 przed wojną czytałem zbiór poezyj ks. Emanuela Grimma, wydany w Cieszynie p. t. „Z nad brzegów Olzy". Miłe wrażenie zrobiły na mnie te wiersze nie kunsztownością formy, bo są niemal ludowe, tak proste, lecz szlachetnością uczuć człowieka, który umie żyć nieosobiście miłością

przyrody, wioski rodzinnej, Ojczyzny, cnoty, piękna. Zapamiętałem długą powieść zbójecką o Ondraszku, którego ścigał zemstą Juraszek, powieść osnutą na śląskiej odmianie legendy o zbójniku Janosiku w Tatrach.

Zapamiętałem rzewność przywiązania poety do rzeki Olzy i odwagę, z jaką w owe czasy uprawiał irredentę przeciwko „Teutonom".

Popatrz się tylko — jak kraj jest długi —
Jak ci się śmieją złote zbóż smugi,
Jak się majaczą hen we mgle góry...
Jak ci się nisko kłaniają drzewa,
Jak śpiewem ptasząt las się rozbrzmiewa...
Jak w pulchnej glebie Olza dnem tonie,
Jak Wisła igra w naszych pól łonie.
Żadna kraina, żadna, o Boże,
Z tobą się, Śląsko, równać nie może!

Ta Olza, jako przedmiot miłości poetyckiej, pozostała mi stąd w pamięci. Ks. Grimm ma dobre poczucie ziemi, wie, że Olza „tonie w pulchnej glebie" i że jakiś dziwny jest jej bieg — od Polski. Ma to poczucie od górali.

Olzo nasza, Olzo droga,
wstrzymaj twoje fale,
bo nie tam jest twoja droga! —
wołają górale.

Tu ci dobrze, jakby w niebie,
Patrz, jak cudne niwy,
Zostań Olzo, bo bez ciebie
Góral nieszczęśliwy.

Nie myślałem nigdy, że spotkam ks. Grimma.

— — — — — — — — — — — — —

Patrząc z mostu Poniatowskiego w Warszawie na ociężałą i milczącą masę wód, zamyślonych już o morzu, trudno wyobrazić sobie, jak wygląda początek tej naszej Wisły. Przecież nie tak daleko w Beskidzie śląskim płynie ona wartkim, hałaśliwym potokiem (przebywa się ją w bród lub przez kładki), wyczynia figlarne wodospady i zwie się Wisełką. Wielu górali nosi nazwę Wisełków.

Daje jej początek niezbyt wabna, ale poważna Barania Góra. Wygląda ona tak, jakby ją zbudował i nazwał chłop. Zbudowana na pożytek gospodarski, nie dla spacerów. W pionie swoim ma wysokości kilometr i 200 metrów, ale tak jest przysadzista, że gdyby ją ze Śląska do Małopolski przebić, to tunel miałby pięć kilometrów długości. Pokryta jest odwiecznemi lasami iglastemi i od strony wschodniej Żywieckiej i od zachodniej Wiślanej. Ale z tej strony zachodniej dziwnie jest soczysta. Zaledwie sto metrów u góry jest sucha, a potem

ocieka moczarem. Las się tam gnoi. Na zwałach starych pni, rozpadających się w próchno, porastają mchy, a gdzie słońce przedrze się przez gęstwinę, tam połyskuje w ciemnościach woda.

Gdzie stąpisz w dzień suchy, tam wytryskuje jak z gąbki, a co chwila na powolnym spadku zwały i mchy tworzą zatory dla drobnych, czarnych jeziorek. Kapie do nich z mchów i liści paprotnych („wykapy"), a gdy się wpatrzeć, każde jeziorko sączy z siebie ciurkiem strumyczek... Poniki te wiążą się z sobą w siatkę i wytwarzają strugi; z tych strug powstają strumienie, aż oto w dole z moczaru wydobywa się potok, żłobiący ciemną dolinę. Jest to Czarna Wisełka.

Ta jest podstawą Wisły. Ona nadaje kierunek dalszym dopływom, przedewszystkiem Białej Wisełce. Biała wypływa z tej samej ściany, ale przeszkadza jej złączyć się z tamtemi wyrastający, jak nos, pagór „Równe". Dopiero gdy się on kończy, Biała, jasna Wisełka łączy się z Czarną. Staje się to już koło Zameczka, który był dawniej pałacykiem myśliwskim Dworu austrjackiego, w zeszłym roku spłonął, a teraz będzie odbudowany dla Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Inna góra (z pasma Czantorji), Kobylonka, przypierająca do Baraniej Góry, przeszkodziła pewnej części źródeł z owych moczarów zlać się z Wisłą i z tej samej wiślanej wody pochodzący potok Olzę

odpędziła ku południowi. Niegdyś w prawiekach, gdzie teraz wieś Istebna, wytwarzały te wody wielkie jezioro, aż znalazły sobie drogę w terenie i (bo to gleba istotnie „pulchna") spłynęły rzeką Olzą do Odry... Jest jeszcze dalej jeden potoczek z Baraniej (Czadeczka), który zrobił taką karjerę, że się przebił do Kisuczy i do Wagu, a z nim do Dunaju i do morza Czarnego.

Barania Góra obdzieliła swemi wodami Odrę i Dunaj, ale od strony Białej Wisły ku północy dzielny potok Soła pokonał wszystkie przeszkody terenu, okrążył daleko polami i dopadł Wisłę, potężnie ją wzmacniając pod Oświęcimem.

Tak to Barania Góra pracuje dla Polski i dla świata. Żeby mieć tyle wody, wiele chmur gnanych wichrami z zachodu na sobie zatrzymuje, jakby się naradzała z temi wysłannikami morza, ile wody Wiśle trzeba, aby Polsce dać mocne z morzem związanie.

II.

Przytaczam te wiadomości geograficzne z podręczników (ob. Kazimierza Sosnowskiego Beskidy śląskie, 1924), aby dać pojęcie, gdzie mianowicie jest wieś Istebna, którą w czerwcu r. b. zwiedziłem. Można do niej się dostać z doliny Wisły,

albo drogą specjalnie zbudowaną od owego Zameczka, gdzie łączą się Wisełki (jeździli tędy arcyksiążęta na Istebnę, Jabłonków do Cieszyna), albo niżej ze wsi Wisły (letniska) doliną potoku Kopydła, drogą uciążliwą pod koniec, bo przez stromą przełecz Kobylonkę (761 m.).

Istebna leży w kotlinie po owem prastarem jeziorze, właśnie u początków Olzy. Przepiękna wieś (2500 mieszkańców), wzniesiona ku niebu (600 m.) jak czara przeczystego życia polskiego. Ziemia pięknie uprawna, budowa domów zachowana z wieku XVI, kościołek romański na wzgórzu wśród lip równo z wieżą w górę wypędzonych.

Był właśnie błękitny i wesoły poranek w dzień Bożego Ciała. Drogami i ścieżkami ciągnęli Istebnianie do kościoła. Górale w czerwonych kamizelach ze srebrnemi guzami; koszule i spodnie samodziałowe, rękawy z haftem, kapelusze skrzydlate, żółte kierpcie lub trzewiki. Chłopy „szumne“, urodziwe. Kobiety jak lalki: fartuchy kolorowe jedwabne, u mężatek jedwabne chustki na głowie, a czoło w „koronce“ pięknego haftu; rękawy nad łokciem ściągnięte i wolne bluzki. Dziewczęta: warkocz z wstążką, aksamitny gorset, złotem lub srebrem i kolorami haftowany. Stare baby w „obrusach“ białych (dosłownie nasz obrus) związanych pod szyją, niżej kolan długich. Suną staruchy jak widma. Młode matki wiodły lub niosły na ręku

dzieci, bardzo świątecznie rozradowane. Dziewczynki, biało w muślin ubrane, jasne główki w loczkach (umyślnie całą noc były w papilotach) i wianeczkach, kierpczyki wstążką wiązane, a każda trzyma kurczowo koszyczek kolorowy z kwiatkami. Popis dzieci.

Na placu przed kościołem stragany z mięsiwem, pieczywem, galanterją różności, piernikami ze Skoczowa, niesłychanie jaskrawo lukrowanemi. Przywiozłem z sobą takie serce kolorowe z główką dziewczyny i podpisem:

O mój drogi i grzeczny Auguście,
Kupże mi co tutaj na odpuście!

Do kościoła niema sposobu się dostać. Cały plac cmentarny pod lipami pełny ludu, zawsze grupującego się według wieku i stanu, kobiety osobno, a tutaj znów panny oddzielnie. Aż oto — chwila niezapomniana — z wrótni kościoła wybucha pieśń, w której góruje dźwięk trąb:

Przed tak wielkim Sakramentem!

Rozełkały się dzwony, a jednocześnie z kościoła wypływają pochylone chorągwie, baldachim złocisty, dokoła niego chełmy strażackie, a dalej wzniesione w górę instrumenty dęte, trębacze zaś w czerwonych kamizelach. Południowe słońce dobyło z tych kasków, trąb i amarantów niesłychane

blaski. Im wyżej biły w niebo gorące fale pieśni, tem niżej kłoniły się głowy przed Najświętszym Sakramentem. Kiedyż, jak nie w słońcu taka pieśń, pod błękitem polskiego nieba, w dekoracji lip, wśród wołania dzwonów, w blaskach złota, w uniesieniu serc, w zachwyceniu cząt dziecka, które matka w górę unosi, aby widziało, a w glorji jasnych włosów wyglądało jak anioł Matejki?

Gdzież szukać czystszej krynicy uczuć, gdzie zrozumieć, co to jest religja? Świat wznosi hymn i odcieleśnia się w czystość przejrzystą powietrza górskiego, wniebowzięty. Baldachim płynie ku ołtarzom pod lipami drogą, usłaną kwiatkami dzieci. Zastępy tego anielstwa plączą się przy samej ziemi, na którą zeszedł Bóg.

Po każdym wersecie orkiestra urywa, a zapowiadacz wywołuje wiersz następny; wtedy górą i krzykiem w niebiosy porywają się metalowe brzmienia, a za niemi podąża głos ludzki. Pieśń to nie kunsztowna, ale dziwnie bezpośrednia, pieśń prawdziwa i taka świąteczna w swojej zgrzebności, jak białe ze lnu koszule na chłopach.

— — — — — — — — — — — — —

Po nabożeństwie zbliżyłem się do grupy trębaczy. Rozmowa z obcym w wioskach śląskich ma podkład łatwości towarzyskiej. Nigdy w Warszawie

nie rozmówiłbym się z ludźmi, nawet wyższego, niż ci górale, wykształcenia, tak prosto, a górnie. Poinformowano mnie odrazu, skąd się wzięła orkiestra we wsi, że instrumenty są ich własnością osobistą, że brak im dobrego nauczyciela muzyki. Dowiedziałem się, że w Istebnie istnieje szereg stowarzyszeń (męskich, kobiecych), gdzie się schodzą na pogadanki religijne, mówili o stowarzyszeniach spółdzielczych, szkole. A że tam lud nie mazurzy, mowa zaś zachowana w czystości staropolskiej, więc to, co mi mówią, porywa czystością treści i formy.

Że co krok, natykałem się w rozmowie na osobę księdza, więc pytam, kto jest proboszczem.

— Ksiądz Emanuel Grimm!

— Grimm, ten poeta? — Nagle mi się przypomniało, że go czytałem.

Poczęli mi wtedy jeden przez drugiego sławić księdza. Pisze poezje, a jakie kazania mówi! To nie tak, jak pastor w Wiśle. Połowa kazania jest patrjotyczna. Istotnie, uderzyła mnie tu różnica zarówno w nabożeństwie (Wisła jest protestancka), jak i w uczuciach narodowych. Istebniakom na słowo o Polsce, czy Warszawie, oczy się śmieją, o wszystkiem wiedzą, biorą żywy udział w życiu Polski. Wisła, bliżej przecież świata, od nikogo nic nie słyszy, bo i pastor daleki od Polski duchem,

a nauczyciele miejscowego pochodzenia ludzie, nie garną z Polski powietrza.

I znowu nauka. Czy nie lepiej posłuchać serca wsi, niż tracić czas na talmudyczną sofistykę po mądrych wydawnictwach, że patrjotyzm szkodzi religji. Nie trzeba w tym wypadku być zwolennikiem Rousseau'a i krzewić zasadę powrotu do natury. Bo Istebna — to już nie „natura", to duża kultura. Chodzi tylko o powrót do p r a w d y. Życie normalne duszy ludzkiej jest prawdą. Takie właśnie łączenie życia uczuć w jeden nurt, stworzyło podstawy tego ruchu historycznego, który się nazywa życiem cywilizacji.

III.

Koło straganów ciżba nieprzebyta. Dzieci z szeroko rozwartemi oczyma czepiają się stołów. Gorące powietrze pełne świstania i harmonijek. W gospodzie leje się piwo, jakieś kolorowe napoje dla kobiet, parada bije ze strojów, a młodzieniec, z którym już poznaliśmy się — niechybnie pozuje na Ondraszka — wielkim łukiem ręki zatacza do ust butelkę i pije wprost po junacku. To czuć, że wszyscy się modelują po staroświecku, nie zazdroszczą mody nikomu.

Stał między nami szumny chłop przedwojenny, który miał na srebrnych guzach dawne znaki, podczas gdy nowe guzy innych były z orłami polskimi. Czytam litery: F. J. I., a na to młodzi podśmiewując się:

— On jeszcze cesarski: Franciszek Józef I.

A chłop, robiąc figlarne oko, powiada:

— Wcale nie, bo to moje litery: Franciszek Juraszek, Istebna.

Ale nam czas, bo czekają nas odwiedziny u malarza. Tak — u malarza i rzeźbiarza zarazem. Wszystkie sztuki wyrastają z tego podłoża duchowego.

— — — — — — — — — — — — —

Pod lasem, za cegielnią, wśród ślicznie uprawnych pól nadolzańskich, które tak czule ks. Grimm opiewa, leżą malutkie posiadłości rolne Wałachów, ojca i syna. Młody Wałach Jan jest malarzem. Dostawszy od ojca półtora morgi gruntu, postawił osobno idebkę z dużem oknem weneckiem. Nie mógł się jednak w niej pomieścić z obrazami, bo dzieci ma już ośmioro. Zbudował tedy sobie osobną pracownię, pod lasem, wysoką, z górnem oświetleniem. Zapełnił ją obrazami — i czeka na nabywców. Wiele długów, ot i krowa jeszcze nie zapłacona!

Mnóstwo studjów istebniańskich. Nie zobaczy się tego na wycieczce, co ten malarz wydobył z przyrody i z ludzi. Chwyta każdą osobliwość miejscową, każdą dawność ginącą zatrzymuje na płótnie, aby nie zginęła. Ciekawe typy starych ludzi wychodzą ku nam z portretów, wielkie płótno z grupą zawodowych muzyków istebniańskich. Siedzą na ławie starcy: jeden z kobzą, drugi ze skrzypką, trzeci z piszczałką, a czwarty przez całe płótno długą trzyma trąbitę górską, co to jak głos wyda na Kobylonce, to słychać ją na Baraniej, a echa długo ją sobie powtarzają po górach. Któż zrozumie urok starych pieśni śląskich, jeśli je czyta w oderwaniu od melodji? A tę znów odda tylko piszczałka, od której są mistrze, lub kobza.

Pół izby, na krzyżakach leżący, zajmuje Chrystus z pnia lipowego rzezany, nadnaturalnych rozmiarów, bo pod sklepienie presbiterjum przeznaczony. Brak Mu tylko krzyża, ale już cierpi. Piękne dzieło.

Wałach uczył się zrazu rzeźby w drzewie. Zajął się nim Jerzy Warchałowski, mający w Wiśle willę. W zakopiańskiej szkole przemysłu drzewnego był wtedy kierownikiem Barabasz i uczył Nalborczyk. Dostał się tam młody Wałach po ukończeniu czterech klas w Cieszynie. Zasmakowawszy w sztuce, powędrował do Krakowa i tam, dobrze się głodząc, uczył się w latach 1905 — 08 w aka-

demji malarstwa. Dyrektorem był Fałat, uczyli: Mehoffer, Stanisławski, Ruszczyc. Dwa medale srebrne. Stypendjum im. Siemianowskich (800 kor.) — do Paryża. Tam studjował do 1910 r. Zajrzał nawet do Włoch po drodze do Istebnej, ale odtąd siedzi tutaj, skąd bliżej do nieba, niż gdziekolwiek.

Gdyby nie roboty do kościołów, dzięki stosunkom ks. Grimma, nie przekarmiłby rodziny. Sam jest zbiedzony, wątły, w okularach. Dziwnie mu się zlewa jawa ze snem w sztuce. Przeżywa w widzeniach przyrodę i odwieczne życie wsi, a jednocześnie taki udział w tworzeniu nowego życia (ośmioro dzieci!), tyle troski i praca na roli. Wśród obrazów piękna głowa starca. To ukochany ojciec artysty. Oto on także wycięty w miniaturze z drzewa lipowego, kiedy kosi trawę: schwytał go w ruchu zgiętego w pałąk, dającego rozmach największy kosie. Mówi o tym modelu z rozczuleniem. Mieliśmy miarę, jak silne są tu na podniebiu uczucia rodzinne. Nie rozerwała tej więzi sztuka, szkoła, podróże. Życie wsi pochłonęło artystę z powrotem, silniejsze od ponęt świata.

Mocne to życie swoją dawnością i dziwnie samostarczalne, cały świat cywilizacji tu się streszcza w tej silnej komórce: i religja, i sztuka i historja i życie towarzyskie, a nadewszystko rodzina i praca

gospodarcza. Nikogo o nic nie prosi, wszystkiemu w społeczności daje zaczątek i podwalinę.

Było nas trzech gości, wszyscy żądni płócien, ale jeden tylko miał pieniądze, których tak łaknęła pracownia, jak rola deszczu w posuchę. Odkładaliśmy nabytki: głowę starca, potok górski, kopanie w polu w skośnem świetle odwieczerza, smutny pogrzeb zimowy o zmroku kopną drogą: orszak kończy starucha w obrusie, pochylona, idąca jak śmierć za swym plonem.

Malarz był podniecony rozmową, opowiadaniem o swem życiu, o pięknościach malarskich i muzycznych Istebny. Na rozstanie postanowił nam zagrać na kobzie. Przypiął te przedziwne miechy z wygiętą pozad trąbitą, do ust przylepił piszczałkę i grał, robiąc łokciem.

Przemieniła nam się izba, zawieszona obrazami, w halę wysokogórską: jakiś bełkot potoku rytmiczny, rozgwar tłumu skandowany, z którego melodja płacząca krzykiem... Ktoś mówi, rozpowiada a wtórują mu echa. Czy smreki tak radzą z potokiem, czy stada się gromadzą?

Może to zawodzenie starej pieśni ludowej o Ondraszku, którego dosięgnął Juraszek?

Gdzie jest twoja głowa
piękna, kędzierzowa,
gdzie twe włosy śliczne,

usta koraliczne?!
Oczy jako strzały,
ręce jako skały,
nogi twoje silne,
w ucieczce niemylne
gdzieże się podziały?!

— — — — — — — — — — — — —

Wracaliśmy wózkiem drogą na Zameczek, jak bajką oczarowani, uwożąc dowody rzeczowe w owych obrazach i prezentach ze straganu, że to nie był sen, lecz prawdziwe widzenie u źródeł życia polskiego.

1928.

3. TRAGEDJA MUZYKA

Muzyk, przyroda i odwieczna pieśń. — Na jeziorze litewskiem, na morzu i w Tatrach. — Zasada przyrody.

ZAMIAST wstępu — krótkie przypomnienie faktów.

Rok 1909. Mieczysław Karłowicz mieszkał wtedy z matką w Zakopanem. W styczniu bawił w Warszawie, gdzie spotkał się nareszcie ze sławą, która go dotychczas w kraju mijała. Symfonja „Odwieczne pieśni", wykonana parokrotnie w Filharmonji, zyskała wielkie uznanie. W parę dni po powrocie do Zakopanego, 8 lutego, wybrał się na krótką wycieczkę narciarską. Gdy nazajutrz nie wracał, rozpoczęto poszukiwania. Znaleziono go dopiero 11-go pod lawiną śnieżną — martwego. W miejscu, gdzie zginął, pod północną turnią Małego Kościelca, na drodze do Czarnego Stawu, stoi dziś kamień pamiątkowy z żałobnym napisem.

Pogrzeb odbył się w Warszawie 18-go lutego.

I.

Trzy razy widziałem Mieczysława Karłowicza na tle przyrody, w którą artysta lubił się wsłuchiwać. Pierwszy raz — było to w r. 1899 (30 lat temu) — Mieczysław miał wtedy 22 lata — bawiłem z nim kilka dni w jego rodzinnym Wiszniewie, w Święciańskiem. Opisywałem tę miejscowość w „Kurjerze Warszawskim", a do tekstu włączyłem zapisaną muzycznie melodję ludową według autografu Karłowicza. Wtedy nie mówiło się jeszcze o nim, jako o muzyku. Pisałem tam o jeziorze Wiszniewskiem:

„Wielka woda, nieprzydatna ludziom, tęskni w słońcu, nudzi się w dzień pochmurny i drzemie w ciszy. Na takiej wodzie panuje melancholja trwania nieosobowego, żywiołowego, tęsknota do życia indywidualnego. I na ziemiach w tych stronach nie brak tej melancholji. Nad małoludnemi polami płynie dziwny śpiew ludzki i zabiega nieraz na jezioro. Zwłaszcza pod wieczór, na pożegnanie słońca, kiedy nietylko drzewo, ale byle źdźbło w polu rzuca długi cień ku wschodowi, w czystem powietrzu, zdającem się tężeć w kryształ z zupełnego spokoju, płynie często ta melodja falą tak długą, nieprzerywaną i żałosną, jakby ją podchwytywano w drodze i słano w przestrzenie dalej i dalej, aż do opasania nią świata. Może tę falę

głosu echo przedłuża? Może to wiatr układa się w tej melodji? Może starodawne postaci mityczne wskrzesły i zawodzą tak wolno i żałośnie? W każdym z tych wypadków inaczejby się tego słuchało; że śpiewają tak ludzie, dlatego serce wzbiera...".

Wędrowaliśmy polami gryczanemi, wrzosowemi łęgami pod lasem, medytowaliśmy nad przesmutnemi cmentarzykami, to znów po sennem jeziorze płynęliśmy łodzią po głowach nenufarów drogami srebrnemi wśród trzcin, a fale zbudzone przez nas goniły się cicho ku brzegowi i nie wracały, jakby brzeg chłonął je pod siebie. A cel wycieczki? Żeby stanąć i wsłuchać się w ciszę, gdy wiosła zamilkną.

Wielka tu cisza i zamyślenie. Ale niema nigdzie tak znaczącej ciszy, jak na szczytach wielkich gór. Do ciszy, ażeby stała się udziałem duszy, potrzeba jest złudzenia zmysłów, że ona płynie z wieczności. Wtedy nie zastanawiałem się nad tem, że Mieczysław Karłowicz ma swoje specjalne tęsknoty niemal fizyczne, że natury poetyckie wogóle szamoczą się z więzami zmysłów, utykających w skończoności, że pragną wydobyć się na czysty przestwór przyrody, graniczący z zaziemskim, aby zaznać bezwzględnego piękna.

Dla Karłowicza to było celem turystyki taternickiej. O uznanie tych celów estetycznych walczył

potem w sekcji turystycznej Tow. tatrzańskiego. W papierach po nim została notatka tej treści:

„Gdyby kto z osób mi drogich wyruszał samotnie na kilkodniową wyprawę w głąb Tatr, wszystkie niebezpieczeństwa stanęłyby mi przed oczyma w postaci dręczących obrazów; odnalazłbym też wszystkie argumenty, które skazują samotną turystykę na potępienie. Mimo to jednak mam za sobą szereg wędrówek samotnych i wędrówki te oblane są w mej pamięci jakimś szczególnym, czystym blaskiem. Są to wspomnienia niezamącone żadnym dysonansem, szereg przedziwnych zespoleń z odwiecznym duchem gór, szereg hymnów w zachwycie odśpiewanych na cześć wszechistnienia. Blask, bijący od tych wspomnień, topi we mnie wszystkie wątpliwości co do turystyki samotnej. Wiem, c o m a m d o s t r a c e n i a, i w i e m, c o m a m d o z y s k a n i a: decyzja nie trwa długo...".

Nie jest pewne życie przy tych potrzebach ducha. To już walka. Walka sztuki z naturą.

Dopiero na szczytach, lub na brzegu morza, gdzie widnokrąg porywa w niebo, Karłowicz doznawał uczucia wyzwolenia. Tam jest blizko do rzeczy dalekich, nieskończonych. Równina, choćby najpiękniejsza, choćby w Wiszniewie, swoim małym horyzontem zamyka człowieka, nie dając mu

wylotu. Wyrwać się z małego horyzontu — to wyzwolić indywidualność.

Po jednej z wycieczek w Tatrach Karłowicz pisał, że była ona dla niego „marzeniem sennem". „Zdawało mi się — dodał, — żem bujał w przestworzu, gdzie wiecznie słońce świeci, gdzie nie dochodziły dźwięki mowy ludzkiej". Chodzi o to bowiem, aby się wydobyć ze świata do tak bezwzględnie czystych sfer, gdzie nic ludzkiego nie zamąci muzyki duszy. Tylko w tych warunkach artysta przezwyciężyć może skończoność środowiska i otworzyć duszę na „odwieczne pieśni", szukające wyrazu w jej smutku.

II.

W pięć lat potem, w kwietniu 1904 r., bawiłem z Mieczysławem Karłowiczem kilka dni nad morzem Adrjatyckiem. Drugą już wiosnę spędzał w uroczej Abazji. Pracował nad symfonją „Powracające fale". W r. 1903 śmierć ojca, a potem siostry pracę tę na dłużej przerwały. W lutym 1904 r. odbył się w Wiedniu koncert symfoniczny Karłowicza w jego obecności. Oczekiwałem go we Lwowie, gdzie Chodakowski (dyrektor opery) obiecał wykonać jego utwory. Ale plany się zmieniły. W liście z 4 lutego pisał do mnie Mieczy-

sław: „Wobec tej zmiany projektów, nie będę obecnie we Lwowie, pojadę stąd nad Adrjatyk, ażeby trochę wypocząć i następnie wziąć się tęgo do pracy kompozytorskiej, bo życie warszawskie było mi wielką przeszkodą. Zamierzam znaleźć sobie jakąś spokojną miejscowość w pobliżu Abazji i siedzieć tam aż do końca maja".

Zamieszkał w sąsiedniej Ice (w kierunku Lowrany) w mieszkaniu, wynajętem u pani Korićowej, w pobliżu przystani. Namówił mnie, żeby przyjechać i u niego zamieszkać. Skorzystałem z tego w połowie kwietnia. Pracował zawzięcie. Z pokoju jego dochodziły mnie urywane dźwięki pianina; niektóre ustępy pokazywał mi potem napisane, ale niestety miał do czynienia z człowiekiem niepiśmiennym.

Na obiad chodziliśmy spacerem do Lowrany. Dni były przeważnie pogodne i ciepłe, niewymownie radosne w kolorycie z powodu kwiecia w ogrodach i lazurów na morzu. Kąpaliśmy się w przesłodkich rozkoszach wzrokowych i jasności słońca, które dla mnie bezpośrednio po ostrem przedwiośniu lwowskiem było rewelacją. Zwisające z murów kiście magnolji rozmarzały mnie. Została mi z tych dni pamięć jasności błękitnej w odróżnieniu od obrazu Wiszniewa, który został w pamięci ciemno-zielony.

Zdarzyło się kilka dni wiatru północnego. Siedzieliśmy na skale wysuniętej w morze, które wrzało. Mocowało się ze skałami, a gniewowi towarzyszył huk, nadający rytm hałasowi i wrzawie. Skały ociekały od ustępujących fal, a gdy na chwilę ukazało się słońce, to wyjaskrawiało się całe pole walki białemi pianami, jak śniegiem, a woda zielona błyskała jak szkło.

Tutaj fale powracają. Która padnie na płaski brzeg, to nie mogąc nic porwać, zdziera żwir, który skrzeczy i wraca sypko na miejsce. To znów inna fala wznosi białe ręce w muślinach, dosięga skały i spada nurka po drugiej stronie. I to trwa, a za tem idzie wyobraźnia czasu, że tak było wieczyście. Co się traci na widoku nieskończoności w przestrzeni, to się zyskuje na wyobraźni wieczności.

A jednak po wymiar tych rzeczy wielkich dusza wraca chętnie do rzeczy swoich, które nie przeto porzuca, aby ich nie miłowała. Musieliśmy gwarzyć wieczorami o Wiszniewie, bo mi została z tego czasu notatka Karłowicza z urywkiem melodji z „Rapsodji litewskiej":

„Stoją mi — pisze — żywo w pamięci Pasieki, gdy w słoneczne popołudnie ledwie szumi w nich wiatr. Zda się wówczas, jakby płynął z nich szept jakiegoś zaklętego, olbrzymiego ducha... Roztopiony jest w lesie i powietrzu jakiś niedomówiony

ż a l, jakaś boleść nieuświadomionych i nieziszczonych tęsknot"...

W dn. 28 kwietnia przepłynęliśmy zatokę do Fiume (Rjeki), a stąd dużym parowcem podążyliśmy do Wenecji. Byliśmy tam razem dni kilka. Pamiętam prześliczny wieczór na gondoli spędzony. Śpiewacy na barce dawali koncert pieśni włoskiej — niewiadomo — ludziom czy gwiazdom. A pieśń nadawała kształt temu, co w duszy jest „niedomówionym żalem i nieuświadomioną tęsknotą". Zapamiętałem „Vorei morir" Tostiego...

Zostawiłem Karłowicza w Wenecji, a wkrótce po powrocie do Lwowa otrzymałem od niego kartkę z dn. 5 maja, w której pisze: „Śliczną miałem przeprawę z Wenecji do Fiume, bo morze było spokojne, jak tafla, a wybrzeża Istrji w świetle wschodzącego słońca tak uroczo piękne, że trudno było oczy oderwać".

III.

A ten trzeci widok będzie dla odmiany zupełnie biały.

Luta zima w górach 1909 r. Znowu w pięć lat. D. 10 lutego otrzymałem list z Zakopanego od p. Izy Zaruskiej. Mam go przed sobą:

„Powód mego listu jest rozpaczliwy. P. Mieczysława Karłowicza od dwóch dni szuka mój mąż z góralami. Poszedł sam do Czarnego Stawu i prawdopodobnie lawina go zasypała. Rozpacz matki nie da się opisać. Dotychczas nie wrócili. Co będzie, jak wrócą — boję się nawet myśleć. Zaraz idę do matki, ale co jej mogę powiedzieć! Niech pan co radzi — może przyjazd pana choć trochę ulżyłby matce".

Nazajutrz, 11 lutego, w południe, byłem w Zakopanem. Na dworcu już dowiedziałem się, że przed paru godzinami odnaleziono zwłoki Karłowicza. Zobaczywszy się z matką, która na niego w domu czekała, ruszyłem sankami do Kuźnic. Białość śniegów niepokalana, a mróz w miarę uchylania się słońca coraz większy.

W Kuźnicach w dużej izbie półmrocznej zastałem ludzi skupionych około wanny. Próbowano cucić zmarznięte ciało. Stanąłem u wezgłowia śpiącego człowieka. W miarę jak go nacierano, ciało odzyskiwało miękkość, chwilami zdawało się, że ożywa, że widzę rumieńce na twarzy, że usta rozchyla. Na te daremne próby, które trwały kilka godzin, nalegali szczególnie zacni gospodarze Kuźnic: Władysław Zamoyski i siostra jego matki Anna Potocka. Lekarze Gaik i Andruszewski nie robili nadziei. Pani Potocka wykonywała sa-

ma zabiegi w wielkiem podnieceniu. I mnie udzielała się jej wiara, że życie wrócić musi.

Jednak wobec smutnej rzeczywistości ręce ratownikom opadły.

Pan Marjusz Zaruski opisywał potem obszernie, w jakich warunkach odbywało się poszukiwanie zaginionego. Pierwszego dnia odnaleźli w schronisku rzeczy Karłowicza i doszli za śladami do wielkiej mogiły śnieżnej, pod którą ślady nart zginęły, a z drugiej strony już się nie ukazały. Posłano po ludzi z łopatami; cały dzień następny (10-go) daremnie kopano. I oto teraz dopiero dokopano się.

P. Zaruski opowiada, jak czekając na ludzi badał sam tę mogiłę: „Księżyc miał się wynurzyć z za szczytu Żółtej Turni, posępne Granaty stały w aureoli świetlnej kurniawy, którą wiatr na ich czołach podnosił. Na śniegu się kładłem, przykładałem ucho do śniegu, nasłuchiwałem, chodziłem po tej nieszczęsnej mogile, kopałem. Nic, głucho i pusto. Straszliwe, jak śmierć, milczenie! Jedna z najcudowniejszych, jakie widziałem, i najsmutniejszych zarazem mroźnych nocy tatrzańskich iskrzyła się jeszcze ostatniemi brylantami gwiazd na niebie i ziemi; wokół góry w oślepiającym blasku księżyca stały olbrzymie i nieczułe na owe tra-

gedje, które na ziemi się dzieją". (Przytaczam z „Taternika", III. str. 2) [1]).

Zbierając wtedy wieści o katastrofie, wyobraziłem sobie moment straszny. Karłowicz, przecinając zbocze góry, drgnął, gdy uczuł w ciszy ruch: odrazu zrozumiał! Przerażenie, czy też ruch powietrza poniosły go w dół. Nie potrzebował patrzeć: wspięła się za nim lawina i sunie; szybszy od niego wichr śniegu porywa z głowy czapkę. Wszystko trwało parę sekund. Huk i cisza nastąpiły jednocześnie — cisza wieczna!

Taka fala nie wraca.

Była to zasadzka potęg przyrody na człowieka, który wydobyć chciał z tej ciszy tajemnicę odwiecznych pieśni. Cisza z palcem na ustach zesłała zawczasu dużo śniegu lotnego. Nic nie dosięga tak cicho ziemi — chyba światło i cień. Zaczaił się śnieg na chylu góry; usławszy się niewinnie na szkliwie starego śniegu, czekał na muzyka. Z puchu lotnego na skinienie okrucieństwa uczyniła się skała, a jednocześnie słodka cisza detonowała hukiem. Salwa nad białą mogiłą, symbolem milczenia wiekuistego.

---

[1]) P. Zaruski opisywał pod świeżem wrażeniem ten wypadek w liście z dn. 12 lutego, ogłoszonym w „Kurjerze Warszawskim" z 16.II.1909.

Legendą kamienia, który tu stanął z napisem, będzie, że uległ przyrodzie nie taternik, lecz muzyk, który przezwyciężał tajemnicę milczenia i ludziom nieznane światy harmonji wieścił.

Historyk ciągnie dalej: „Z własnych nart nieboszczyka zrobiono prowizoryczne sanki, uwiązawszy do nich poprzeczne dwa kawałki drzewa, w płachtę owinięto ciało i złożono na nartach. Ciało do nart przywiązano. Długą linę ujęli górale i ruszyliśmy do Hali Gąsienicowej. Niezwykle smutny był pochód nasz ku Zakopanemu. Właśnie, niemal w chwili gdy zwłoki znaleziono, powstała sroga zadymka, która nie opuściła nas już do Kuźnic. Długi sznur górali, brnących w śniegu głębokim — białe ich cuchy, jak skrzydła na wichrze trzepocą — za nimi nizko w śniegu płynie postać w całunie. Na Karczmisku szreń była tak twarda, że musiano rąbać stopaje. Na Upłazie ludzie szli niżej, myśmy na nartach jechali nad nimi, trzymając ciało na linach, aby na dół nie osunęło się".

— — — — — — — — — —

Wieczór był wyiskrzony gwiazdami, kiedyśmy ruszyli do Zakopanego. Ciało Karłowicza złożono na wozie ciężarowym. Jechaliśmy wolno — wieźliśmy syna matce, która na niego w kamiennym bezruchu czekała. Nie słyszałem nigdy, ażeby

śnieg tak grał pod kołami wozu i kopytami koni. Była to dziwna muzyka pogrzebowa. Śnieg, który człowieka zabił, grał mu teraz całą orkiestrą gęśliczek, a było w tym hołdzie coś tryumfu przyrody nad sztuką.

Słuchały tej muzyki świegotliwej smreki w lesie, gwiazdy na drogę wyległy, a dusza ludzka drżała od jej okrutnego zimna.

1929.

4. POECI W TATRACH

Powrót S. Goszczyńskiego w góry. — Rok 1873 w Zakopanem. — Stary romantyk ustępuje drogi Asnykowi i Tetmajerowi. — Nowa sztuka. — Przez lud do natury.

I.

DOBYWAM z archiwum sześć nieznanych listów Seweryna Goszczyńskiego z lat końcowych jego życia, aby te pamiątki ożyły przed nami we wzruszającym obrazie: sędziwy poeta rwie się w Tatry, w których przed laty czterdziestu zaznał zachwycenia poetyckiego. Poprzez Tatry, które teraz znamy, spójrzmy na owe z przed lat 56, a przez tamte jeszcze głębiej w czasy „Sobótki", niemal sto lat wstecz, a będziemy mieli perspektywę dziejów literackich poezji, która w Tatrach ma swe gniazdo orłowe.

1.

17 Czerwca 1872 r., Lwów.

Szanowny i kochany Panie!

List Pański [1]) z 27 Maja i paczkę moich rupieci otrzymałem. Dziękuję serdecznie za trud podjęty w przesłaniu paczki a niemniej za uczucie tak życzliwe, tak pochlebne, zawarte w liście. Przepraszam tylko że się spóźniłem z podziękowaniem. Mam tu dosyć zajęcia z dawnemi i nowemi znajomościami; czas więc schodzi mnie miło i szybko. Z moim pobytem nadal niema jeszcze nic stanowczego. Widziałem się z Gołuchowskim, ale tę tylko od niego otrzymałem odpowiedź, że stały mój pobyt w Galicji zależny od ministerjum. Myślę jednak, że w tym punkcie nie doznam żadnych przeciwności.

---

[1]) Listy 1 — 5, pisane ze Lwowa do Krakowa, niestety nie mają na sobie adresu. Odbierała je prawdopodobnie ta sama osoba, bo — ile pamiętam — dostałem je w tym komplecie z jednej ręki, nie zajmującej się kolekcjonowaniem. Wynika to zresztą z ich toku, a z treści łatwo dojść można było, że pisał je Goszczyński do Władysława Daisenberga. Zbliżył się z nim poeta za pierwszego pobytu w Krakowie, po powrocie z Paryża w maju 1872. Daisenberg pracował w tych latach wiele na polu filozofji. W r. 1872 zaczął wydawać zeszytami w Krakowie „Dzieje filozofji prawa". W r. 1875-ym wydał „Filozofję Leibnitza", 1877 „O prądach w filozofji".

Co do mego wyjazdu ze Lwowa, trwam zawsze w tem postanowieniu, żeby przed końcem Czerwca być w Krakowie. Spodziewałem się wyjechać około 20⁰ b. mca, ale dla różnych drobnych interesów mój pobyt we Lwowie przedłuży się zapewne o dni kilka. Na wszelki wypadek nieomieszkam zawiadomić Kochanego Pana o dniu mojego wyjazdu. Byłbym bardzo rad znaleźć jeszcze w Krakowie moich zacnych przyjaciół i znajomych. Temczasem zechciej kochany Panie oświadczyć w mojem imieniu im wszystkim niezmierną moją dla nich wdzięczność, a między innymi tak miłej i tak dla mnie łaskawej Pani Bukowskiej. Atmosfera życzliwości, która mię otacza tu we Lwowie, nie osłabiła we mnie bynajmniej pamięci na Kraków. Obecnie mieszkam na ulicy Sykstuskiej 33, w mieszkaniu Państwa Kuzniewiczów. On sam jest inżynierem przy kolei żelaznej, ona z domu Sendzimirówna, bardzo miła, dobra i t. d. Może być, że są Panu znani, bo mieszkali jakiś czas w Krakowie i tam się nawet pobrali.

Od kilku dni mamy pogodę niemiłą i deszcz prawie ciągły i zimno jak w jesieni — ale ja nie skarżę się na to, bo tej niepogodzie jestem winien trochę czasu wolniejszego, z czego korzystam i piszę te słów kilka, głównie dla przesłania kochanemu

Panu mojego serdecznego uścisku. Zostaję z rzetelnym szacunkiem

zawsze wdzięczny

Seweryn Goszczyński.

2.

11 Lipca 1872 r., Lwów.

Szanowny i kochany Panie!

Za list Jego z b. m. najserdeczniej dziękuję. Uczucia jego dla mnie wysoko cenię i będę starał się zostać zawsze ich godnym. Wyrwać się ze Lwowa było mi dotąd niepodobnem — ale mam nadzieję, że około 15 b. m. ułatwię się tak ze wszystkiem, co mnie tu zatrzymuje, że na koniec będę mógł wyjechać. Między innemi mam jeszcze do czynienia z policją, na którą nie mogę się żalić — jest bardzo dla mnie uprzejma. Wie już o moim zamiarze udania się w Tatry i nie stawia żadnych przeszkód. Obywatelstwa dotąd nie otrzymałem; podałem dopiero prośbę o pozwolenie stałego pobytu w Galicji, ale zdaje się, że odpowiedź nie przyjdzie tak prędko.

Bardzo mi tu dobrze; byłbym niewdzięcznym, gdybym tego nie uznał. Oprócz starych drogich dla mnie znajomości [1]), zawiązuję coraz nowe, któ-

[1]) Miał na myśli przedewszystkiem Augusta Bielowskiego.

re mię coraz ściślej spajają z Galicją i przygotowują pole do dalszej pracy na korzyść świętej naszej sprawy: wszakże to nie osłabia mojej miłości do Krakowa, a w szczególności dla tego kółka zacnych rodaków, śród których byłem prawdziwie szczęśliwy życiem polskiem.

„Świtu" [1]) dotąd nie zdarzyło mi się czytać, a pragnę poznać pracę Pańską [2]) — i będę z mojej strony starał się o to. Przed moim wyjazdem ze Lwowa napiszę jeszcze do kochanego Pana. A témczasem proszę przyjąć te słów kilka jako szczery wyraz moich przyjacielskich dla Niego uczuć, z którymi zostaję Kochanego Pana.

Najobowiązańszy

Seweryn Goszczyński.

3.

30 Lipca 1873 r., Lwów.

Szanowny i Kochany Panie!

Według umowy naszej mam wreszcie przyjemność zawiadomić Kochanego Pana, że jutro o go-

---

[1]) Wychodził wtedy we Lwowie pod tym tytułem tygodnik naukowo-literacko-artystyczny pod redakcją Zygmunta Ulanowskiego.

[2]) Mowa o „Zarysie fliozofji prawa", o której musiano pisać w „Świcie".

dzinie 5-ej wieczorem wyjeżdżam ze Lwowa do Krakowa — chybaby zaszła jakaś nadzwyczajna przeszkoda. Przez ostatnich dni kilkanaście byłem chory i w kuracji — a chociaż i dziś jeszcze nie jestem zdrów zupełnie, nie mogę dłużej zwlekać mojego wyjazdu i puszczam się w nadziei, że ta przejażdżka posłuży mojemu zdrowiu.

Przyczem zostaję z głębokim szacunkiem kochanego Pana

najżyczliwszy

Seweryn Goszczyński.

4.

1873. Zakopane [1]).

Zacny Panie Władysławie!

Jestem więc w Zakopanem od 15 b. m. Kilka dni zabrał mi pobyt w Ludzimierzu u Tetmajera [2]). W tej chwili niewiele mam do doniesienia. Co do mego zdrowia, nie jestem z niego rad, zwłaszcza od przybycia do Zakopanego; jakieś wzburzenie krwi,

---

1) Górny kawałek obu kartek listu z datą miesiąca oderwany, widocznie przy zrywaniu koperty. Ze śladu ostatnich liter miesiąca wnosić można, że był tutaj wyraz: lipca. Zresztą z treści listu widać, że pisany był latem.

2) Mowa o Adolfie Tetmajerze, który miał posiadłość w Ludzimierzu pod Nowym Targiem, w pobliżu Łopuszny, ojcu Włodzimierza i Kazimierza poety.

stąd bicie serca, szum w uszach, bezsenność, ociężałość i t. p. Dziś jednak czuję się lepiej. Może to wpływ atmosfery, do której nie przywykłem.

Mieszkam u Macieja Sieczki, jednego z najwziętszych tu przewodników. Stołuję się dotąd w traktjerni dosyć porządnej, ale później będę miał jedzenie w domu.

Goście są bardzo liczni, niema już prawie domu niezajętego, a nowi codzień przybywają, stąd mieszkania są dosyć drogie, 5 ryńskich z usługą na tydzień płacą niektórzy. Ja mam za 3 ryńskie miesięcznie, usługa osobno, a to tylko poprzedniemu zaznajomieniu się z moim Gazdą winienem.

Jak też rzecz stoi co do Kazia? [1]. Tutaj wzięto wszystkie środki gdyby się pokazał, dotąd jednak żadnego śladu. Szczerze radowałbym się dla matki gdyby się już zguba odszukała. Ufam w dobroci Pańskiej, że mi w kilku słowach doniesiesz o wypadku poszukiwań. Co Pani Róża [2]) myśli

---

[1]) Przypuszczam, że chodzi o jakiegoś Kazia, który się wyrywał z Krakowa w góry i którego tam w Zakopanem „gdyby się pokazał" złapią. Mam wrażenie, że sprawa dotyczy Kazia Kruszyńskiego, ile że bezpośrednio potem Goszczyński pyta o jego matkę, Różę.

[2]) Pani Róża Kruszyńska z Ukrainy, spowinowacona z Michałowskimi i Szymanowskimi (z których nasi muzycy) mieszkała w Krakowie. Na lata zjeżdżała do Zakopanego.

z sobą robić przez letnią porę. Pani Marcellowa [1]) czy już wyjechała i dokąd? Jak się ma jej maleńka? Marcelli jakie ma projekta? radbym go zobaczyć w Zakopanem. Pan Wincenty czy wyjechał na wieś?

Témczasem wszystkich wymienionych i niewymienionych proszę serdecznie pozdrowić!

Zostaję, jak zawsze, z najszczérszą miłością i poważaniem Kochanego Pana

Sługa i przyjaciel

Seweryn Goszczyński.

Adres: przez Nowytarg w Zakopanem.

---

[1]) Pani Marcellowa i pan Marcelli — to pewno Dobrowolscy. On był synem Izabelli Dobrowolskiej, nad której grobem Goszczyński wygłosił mowę (ob. „Dzieła Zbiorowe", str. 490) „Gazeta Narodowa" we Lwowie nr. 181 z 16 listopada 1872 w korespondencji z Krakowa dała taką informację: „Niedawno zmarła Izabella z Lewandowskich Dobrowolska, małżonka przyjaciela z lat młodzieńczych autora „Zamku Kaniowskiego", niewiasta pełna cnót i zasług. Przybyła z Ukrainy do syna, którego wypadki 1863 r. wyrzuciły tu na tułactwo i w Krakowie znalazła miejsce na ostatni przytułek. Ukraińscy przyjaciele ponieśli na swoich barkach zwłoki jej na cmentarz (30 września r. b.), a przyjaciel zmarłej, sędziwy Seweryn Goszczyński, miał nad otwartym jej grobem — przemówienie".

5.

17 Listopada 1837 [1]) Lwów.
54. Ul. Halicka.

Kochany Panie!

Żałowałem mocno żeśmy się rozminęli we Lwowie: przybyłem nazajutrz po Pańskich odwiedzinach, znalazłem Jego bilet, ale nie wiedziałem gdzie Go szukać; nadto przyjechałem w takim stanie zdrowia, że przez kilka dni nie mogłem prawie wychodzić.

Zdaje mi się, że wyjeżdżając z Krakowa w góry złożyłem pod opiekę Pańską parę sukien (żakieta i spodnie sieraczkowe), niepotrzebne mi wówczas, jeżeli są, jak mi się zdaje, niech łaskawy Pan prześle mi je teraz, a to przez Pana Józefa Żulińskiego [2]), który dziś właśnie ma wyjechać do Krakowa, gdzie kilka dni zabawi. Marcelli będzie wiedział, gdzie go znaleźć.

Moja słabość jeszcze mnie nie opuściła, ale znacznie zmniejszyła się; mam nadzieję w bie-

---

[1]) Taką cyfrę postawił poeta, oczywiście przez pomyłkę — zamiast 1873. Ale w pomyłce tej można upatrzeć bezwiedne skojarzenie ręki ze wspomnieniami tamtych lat młodzieńczych, które teraz opanowały poetę.

[2]) Józef Żuliński, lekarz, i brat jego, Tadeusz, mieszkali we Lwowie i pozostawali w najbliższej zażyłości z Goszczyńskim.

głości mojego lekarza Pana Żulińskiego, że wkrótce będę od niej całkiem wolny. Oczekuję z upragnieniem dalszych zeszytów „Dziejów filozofji Prawa" [1]. Czytałeś zapewne w „Strzesze" [2] pochlebne a sprawiedliwe zdanie Kraszewskiego o tej Pańskiej pracy. Życzę, aby ogół czytelników podobne odniósł wrażenie, byłoby to dla niego z korzyścią.

Zostaję, jak zawsze, ze szczérą przyjaźnią i głębokim szacunkiem Kochanego Pana najżyczliwszy

Seweryn Goszczyński.

6.

Szanowny i kochany Panie! [3].

---

[1] W r. 1873 wyszedł zeszyt III tego dzieła.

[2] Wychodziło takie czasopismo w tym roku we Lwowie.

[3] Goszczyński, wracając z dorocznej wycieczki do Tatr i Krakowa, pisze ten list do Władysława Bełzy. Podobnie brzmiący list z r. 1875 znajduje się w archiwum po ś. p. Bełzie, będącem własnością synowca W. Bełzy w Bydgoszczy. Władysław Bełza mieszkał w tej samej kamienicy (Halicka 54). Sąsiadów połączyła zażyła przyjaźń. Przed śmiercią Goszczyński, tracąc już przytomność, posłał po Bełzę, i ten był przy jego śmierci. Szczegółowe dane o ostatnich chwilach Goszczyńskiego i stosunkach z rodziną Bełzów, podaje Aleksander Bolesław Brzostowski w książce: „Ci, których znałem". Bibl. Dzieł Wyborowych. Warsz., 1900.

Mam zamiar wyjechać stąd około 1-go lub 2-go przyszłego miesiąca, może o dzień lub dwa później. Głównie zatrzymuje mnie tu prześliczna pogoda, której od wielu dni nieprzerwanie używamy, a przechadzki takiej, jak plantacje Krakowskie i Zawiśle nie mamy we Lwowie.

Co do zdrowia, czuję się znacznie lepiéj. — Wodę krynicką piję — w dozie zmniejszonej — ale, że się wkrótce zobaczémy, materyą mojej kuracyi zostawiam w tej chwili na boku.

Korzystam z dobroci Pańskiej i będę wdzięczny, jeżeli mój stróż będzie zawiadomiony o moim rychłym powrocie, abym znalazł w porządku moje mieszkanie.

Moje serdeczne pozdrowienie kochanemu Panu i całej Jego rodzinie, jak zawsze, pełen wdzięczności i braterskiego czucia

Seweryn Goszczyński.

II.

Listy Seweryna Goszczyńskiego powyżej ogłoszone do dziejów jego twórczości nie dodają faktów nowych, boć to były lata końcowe życia, już nie twórcze. Wszakże żywot człowieka, tak drobiazgowo już znany z lat poprzednich, winien być doprowadzony do końca w myśl maksymy tegoż Goszczyńskiego: „Historja pojedyńczego czło-

wieka, dobrze spisana, jest tak ważną, tak bogatą w naukę, jak historja narodu. Nie powinna tylko zatrzymywać się na powierzchni życia, na wyliczaniu suchem wypadków" [1]).

Poruszony w tych kilku listach fragment „podróży życia" poety, życia zawsze poetyckiego, ma w sobie jeden rys głębszy, mianowicie — odżycie w duszy wspomnień tatrzańskich. Goszczyński poznał się z Tatrami w r. 1832. Wrażenia, jakich tu doznał, nie miały sobie równych w jego życiu. Doznał tu zachwycenia prometejskiego w pełni dojrzałych sił duchowych, jako człowiek trzydziestoletni. Był to szczyt górski w pasmie jego lat. I pozostał nim, pomimo że wszystko inne, co przeżył, co zdziałał i napisał, zatonęło w nurtach życia religijno-mistycznego, któremu się oddał od r. 1842.

Powrót do świata z tamtych światów, powrót do kraju z obczyzny, powrót do Galicji, w której spędził część najpełniejszego wysiłku lat, był powrotem do gór. Po trzydziestu latach służby religijnej w Kole Towiańskiego obudził go, jak ze snu, głos, wzywający do kraju. Z nędzy, z osamotnienia, z ociężałości wyrwał go Agaton Giller namową do powrotu i pomocą materjalną. W kwietniu 1872, sprzedawszy swoje ruchomości za 35 fr., wy-

[1]) Ob. w wydaniu Pigonia „Podróż mojego życia". Wilno 1924, str. 89.

jechał z Paryża. Obrano mu Lwów na siedzibę, ale poeta zatrzymał się w Krakowie, odrazu planując podróż w góry. Udało mu się tam wyrwać dopiero na sierpień. Wycieczki te wznawia co roku, ciągle w nadziei, że odszuka w sobie dawnego twórcę „Kościeliska".

W maju 1873, pisząc na imieniny do Paryża do Zofji Nabielakowej (żony belwederczyka Ludwika), tak jej donosi o swych losach w Galicji:

„W pierwszych dniach tego roku otrzymałem wreszcie pozwolenie na pobyt w Galicji. Mam mieszkać stale we Lwowie, ale wolno mi przejeżdżać się — i właśnie w pierwszych dniach Czerwca wyjeżdżam w Tatry dla wzmocnienia się górskim powietrzem i dla prac niektórych. W przeszłym już roku przepędziłem tam kilka tygodni. Znalazłem przy życiu całą rodzinę, śród której przebywałem lat temu czterdzieści: dziewczątka, które wtedy na ręku nosiłem, są już dzisiaj matkami rodzin; można sobie wyobrazić, jak spólnie radowaliśmy się. Domek nawet w ogrodzie, który wyłącznie sam zamieszkiwałem, znalazłem w tym stanie, jakbym go wczoraj porzucił. W przejeździe do gór zatrzymam się jaki tydzień w Krakowie, gdzie także mam bardzo liczne i serdeczne znajomości" [1]).

[1]) Kopja tego listu znajduje się w archiwum bibljoteki Rapperswilskiej.

Zanim pojedziemy z sędziwym poetą w Tatry, skomentujmy sobie w paru słowach wzmianki o licznych i serdecznych stosunkach nawiązanych w Galicji. Wyrywały go sobie dwa miasta; Kraków i Lwów nosiły go na rękach. Wnet gdy przybył z zagranicy, 2 maja 1872 urządzono w Krakowie na jego cześć bankiet, na którym sam mówił wyzwany i wysłuchał dziesięciu mów patrjotycznych a hołdowniczych. Przemawiali Wincenty Pol (zmarł pod koniec tego roku), prezes stwarzanej wówczas Akademji Umiejętności Józef Majer, Aleksander Kłobukowski, hr. Gumplowicz, Józef Szujski, Drewnowski w imieniu młodzieży akademickiej, jeszcze raz Pol, Machalski, Leon Chrzanowski, Alfred Szczepański [2]).

Trzymali się na uboczu prawowici konserwatyści. Był coprawda obecny dawny towarzysz prac Lucjan Siemieński, teraz konserwatysta, ale nie przemawiał; tembardziej demonstracyjnie nosili się z Goszczyńskim patrjoci, żyjący tradycjami powstań.

Pełno było w Krakowie i Lwowie rodaków z za kordonu, uczestników powstania 1863 r. Ci nadawali ton patrjotyczny wyssanej przez Austrję Galicji. W Goszczyńskim widzieli oni przedstawiciela, i to wybitnego, rewolucji 1830 r. Goszczyń-

---

[2]) Według dzienników krakowskich z 3 maja 1872.

ski w młodości pracował tutaj w Galicji na to nowe powstanie; dziś wznoszono go jako symbol wieszczenia i bohaterstwa, nie zdając sobie sprawy, że ten wieszcz trzydzieści lat na emigracji kajał się pokutnie za swoją wiarę młodzieńczą w moc fizyczną; za udział swój w walkach zbrojnych.

Na owej uczcie krakowskiej w odpowiedzi swojej poeta delikatnie kierował uwagę biesiadników na potrzebę zdobyczy w życiu wewnętrznem:

„Nie mogę słów znaleźć dla wyrażenia tych uczuć, które mnie dziś przejmują. Jest to najprzód uczucie radości z tego, że po długiem wygnaniu dotykam się ziemi ojczystej w Krakowie, w tem mieście, w którem żegnano mnie, gdym przed 40 laty przemykał się tędy, uchodząc z kraju; uczucie radości z tego, że was tu po tylu latach widzę swobodniejszych, niż wówczas. Dzisiaj od nas zależy, od przerobienia pracą i od wewnętrznego odrodzenia nas samych — lepsza przyszłość Ojczyzny" [1]).

Naogół jednak Goszczyński, jak widać zresztą z listów, czuł się trochę znużony pozycją człowieka noszonego na rękach i samym trybem stosunków towarzyskich, od których był odzwyczajony. We Lwowie również nie miał dnia wolnego od wizyt i zebrań. Pragnął ograniczyć się do domów bliż-

---

[1]) „Kraj" 1872, Nr. 101.

szych przyjaciół, jak Bielowscy, Żulińscy, ale przecież wszędzie chciano go widzieć. Z paru notatek to widać. Więc w lutym 1873 notuje: byłem u Bielowskich, 16-go miał wizytę prof. Ksawerego Liskego z żoną, 20-go był na ślubie u pp. Cieleckich, a to znowu obchód Kopernikowski w ratuszu, gdzie deklamuje Ładnowski i t. p. Trzeba było utrzymać stosunki z Kornelem Ujejskim, Janowskim, Podlewskim, Hefernem, żył Józef Supiński, Alfred Młocki, Darowski i w. in. Tem trzeba tłumaczyć na tle rzewności ówczesnych listów nutę jakby skargi: „Bardzo mi tu dobrze, byłbym niewdzięcznym gdybym tego nie czuł", ale w liście do Nabielakowej skarży się wprost, że nie może nic robić, nie będąc nigdy samotnym.

W Tatry wyjeżdżał — jak czytaliśmy w liście do Nabielakowej — „dla wzmocnienia się górskiem powietrzem i dla prac niektórych". Taki był motyw oficjalny, ale w rzeczywistości Tatry nie służyły jego zdrowiu, a prac żadnych nie dokonywał. W Tatry udawał się z tęsknoty do dawnych swoich czasów. Oparcie towarzyskie miał tam w rodzinie Tetmajerów (o niej to pisze w liście do Nabielakowej), mianowicie w rodzinie Adolfa Tetmajera. W pamiętniku swoim pod r. 1832 Goszczyński pisał:

„Szczególna to rodzina (Tetmajerów) w Tarnowskiem — liczna i zacna. Należał do niej Tetmajer

(Karol), adwokat w Tarnowie, człowiek bardzo zdolny... Dwóch jego synów było w powstaniu, Adolf i Antoni. Adolf począł zachodzić w bliższy ze mną stosunek młodszego brata ze starszym, co trwało aż do mojego wyjazdu z Galicji. On w tych czasach był przepisywaczem mojego przekładu poematów Ossjana, w jego towarzystwie przepędzałem najwięcej czasu w Łopusznej i odbywałem podróż do Tatrów. Później znaleźliśmy się razem w robotach ważniejszych. Chłopiec z twarzy ładny, z charakteru żywy, lekki, wesoły, obok tego znakomitych zdolności i sposobności do wielkich ofiar — pod dobrym i silnym kierunkiem" [1]). Jemu to i Leonowi Zalewskiemu zostawił pod opieką tajną organizację górali w Tatrach. Adolf w roku 1838 odwoził go tajemnie do granicy, gdy uchodził do Francji.

Przedtem jeszcze, w czasie rewolucji, Goszczyński zbliżył się z Józefem Tetmajerem, z nim przekroczył kordon i u niego w r. 1831 w Mikołajewicach pod Tarnowem zamieszkał. Józef miał brata Leona, ożenionego z Lisicką. Ten gospodarował w Łopusznej na Podhalu. Do niego to z pod Tarnowa pod Nowy Targ przeniósł się Goszczyński w r. 1832 i podróż tę, trwającą trzy dni, opisał w swoim „Dzienniku podróży do Tatrów". Dla Jó-

[1]) Podróż mojego życia, str. 69.

zefa i Leona adwokat Karol był stryjem, Adolf zaś bratem stryjecznym. O jakąś milę od Łopusznej w Ludzimierzu zaczął potem gospodarzyć ów Adolf, ożeniwszy się z Krobicką z Harklowej. Wówczas jednak w r. 1832 Goszczyński razem z Adolfem bawili w Łopusznej u Leona Tetmajera. Goszczyński opisuje Łopusznę i dom w „Dzienniku podróży do Tatrów". Jest tam opis i owej altany, o której wspomina w liście przytoczonym wyżej do Nabielakowej.

Ludzimierz był posiadłością mniejszą i skromniejszą niż Łopuszna. Tutaj bawił Goszczyński latem r. 1872 i 1873 po kilka tygodni, odwiedzając oczywiście Łopusznę. W owych latach pierwsza żona Adolfa Tetmajera już nie żyła; pozostał po niej Włodzimierz, późniejszy artysta. W r. 1864 Adolf ożenił się powtórnie z panną Julją Grabowską z Warszawy, którą poznał w Szczawnicy. Rodzice jej mieli posiadłość na ul. Miodowej. Miała brata słynnego prawnika Leona i dwie siostry, z których jedna wyszła za kompozytora Żeleńskiego, druga za prof. Wł. Kwietniewskiego.

Z tego małżeństwa Adolfa Tetmajera z Julją Grabowską pochodzi Kazimierz Tetmajer, sławny poeta. Kiedy Goszczyński tam przybył, Kazimierz liczył dziewiąty rok życia. Pamięta dobrze, jak to widać z pism, postać protoplasty swojego w poezji tatrzańskiej. Pani Julja Tetmajerowa

zmarła w r. 1914. Z listu, który od niej otrzymałem w r. 1894, przytoczę parę urywków:

„Mąż mój kochał pana Seweryna i był z Nim w wielkiej przyjaźni do końca Jego życia. A i on musiał równem uczuciem odwzajemniać mu się, ponieważ pierwszem jego słowem po powrocie z emigracji było: Czy jest tu Adolf Tetmajer? I zaraz przyjechał do Ludzimierza, gdzie miałam szczęście mieć Go u siebie przez parę miesięcy.

„Mąż mój obwoził Go po dawnych znanych miejscowościach, razem byliśmy w Zakopanem, gdzie nawet uratował może życie małemu naszemu synkowi, przyjmując go w swoje objęcia spadającego ze stromej góry, a uratował dzisiejszego poetę Kazimierza, którego zawsze nazywał hetmanem".

„Usposobienie ś.p. Seweryna było zawsze nadzwyczaj poważne, małomówne. Wspominał tylko przeszłość, mówił o polityce i pamiętam, że opowiadał, jak gotował sobie obiad podczas Komuny przy ogniu z pism swoich. Sprawy bieżące wcale go poza polityką nie obchodziły. Zwykle przebywał w swoim pokoju, gdzie się zamykał i tylko przychodził na wspólne obiady i kolacje. Łatwo bardzo się wzruszał, łzy miał w oczach za lada objawem serdecznym. Raz, pamiętam, poszedł ze mną i dziećmi na spacer, a szliśmy ponad Dunajcem i patrzyli na pasmo cudnych Tatr. Seweryn

pierwszy raz wtedy rozgadał się trochę o sobie. Było to już za drugim Jego powrotem (1873) w domu naszym — i pełen wzruszenia opowiadał, że teraz wszystko, co ma w domu, należy do niego. Obojeśmy się rozpłakali, takie to było wzruszające i smutne, żeby człowiek takiej zasługi i w tym wieku dopiero nad grobem miał swoje własne łóżko i to ofiarowane sobie!

„Ubierał się zawsze w sieraczkowy surdut i trzymał się prosto, wzrostu był dobrego i tuszy dobrej"...

Kazimierz Tetmajer w r. 1901 [1]) tak wspominał Goszczyńskiego z tych czasów:

„Z ojcem moim dozgonną zawiązał przyjaźń i do nas przyjeżdżał na wieś jako starzec już i sławy wielkiej człowiek. Pamiętam go dobrze. Siwy był, rycerski miał wyraz twarzy; choć wówczas przeszedł już był siedemdziesiątkę, krzepki był, odważny i silny. Pracował jeszcze. Ojca mojego, który był od niego o dziesięć lat młodszy, traktował podobnie, jak go musiał traktować w obozie, kiedy sam był podchorążym, a ojciec mój młodziutkim żołnierzykiem w drugim pułku ułanów. Pamiętam, że Goszczyński był bardzo poważny, że miał dziwne wstrząśnienia głowy i ramion

[1]) „Z wakacji". „Słowo", Warsz. 1901, Nr. 262. To samo w „Skalnem Podhalu" IV.

wskutek wady sercowej i że lubił chodzić na samotne dalekie spacery.

„Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, kto to był. Wiedziałem, że jakaś szanowna osoba, z którą się daleko więcej ceremonji robiło, niż z księdzem proboszczem, albo z panem Drohojewskim w niebieskim kontuszu z Czorsztyna. Wiedziałem, że z pokoju, w którym mieszkał, wypędzano starannie wszystkich i że nie wolno tam było wpadać, ani wrzeszczeć pod drzwiami. Nie wiedziałem, że jest to człowiek, który znał Mickiewicza i Słowackiego, który sam miał pozostawić po sobie pamięć w literaturze i który będzie dla mnie trwałem i wyjątkowem wspomnieniem przez to, że z jego „Sobótki" narodziła się we mnie chęć do pisania wierszy. „Sobótka" otwarła mi na góry jakiś inny wzrok".

Ciągnęło starego poetę głębiej w góry. Więc z Ludzimierza po tamtej stronie doliny Nowotarskiej zjechał w r. 1873 do Zakopanego, które już wówczas, zanim Chałubiński rozsławił je w Warszawie, ściągało do siebie wiele osób na lato, nie licząc taterników, do których należał już kilkonastoletni Jan Gwalbert Pawlikowski. Mamy w liście Goszczyńskiego z końca lipca 1873 obrazek, jak wyglądało wtedy Zakopane, koncentrujące się koło starego kościoła i księdza Stolarczyka. Byli już wtedy przewodnicy fachowi, jak

Maciej Sieczka, u którego mieszkał Goszczyński, lub Jędrzej Wala. Znamy ich z książki Walerego Eljasza, wydanej w r. 1870 [1]). Niewiele się pewno od tego czasu zmieniło do r. 1873.. O tej traktjerni, gdzie się żywił Goszczyński, Eljasz pisze w przypisku (s. 178): „Właśnie w czasie druku Przewodnika doszła mnie wiadomość o otwarciu restauracji w Zakopanem poraz pierwszy, co o wiele ułatwi pobyt gościom, udającym się w Tatry bez przyborów kuchennych. Obywatel z Nowego Targu Al. Tretter wraz z Grz. Czernawskim w czerwcu r. b. otworzyli traktjernię w bardzo odpowiedniem miejscu i lokalu koło kościoła Zakopiańskiego w domu Krzeptowskiego".

A co do mieszkań Eljasz pisze, że były wówczas w Zakopanem dwie karczmy, gdzie można było przenocować, ale na dłuższy pobyt górale wynajmują swoje izby. „Pojawiają się od pewnego czasu za przykładem Macieja Sieczki izdebki na pięterku, zwanem tu zwyżką. Płaci się z mieszkania wraz z obsługą miesięcznie od 6 do 10 i 15 guldenów". „Izb do wynajęcia w Zakopanem koło kościoła jest przeszło 50, a na Bystrem 9; wszystko to w 35 domach oprócz gościnnych pokojów w Jaszczurówce" (s. 24).

---

[1]) Ilustrowany przewodnik Tatr, Pienin i Szczawnic. 1870. Nakładem Żupańskiego w Poznaniu. Są tam portrety tych przewodników.

Pobyt w Zakopanem, mimo wszystko musiał być pociągający, skoro w lipcu było już tłoczno. Tego roku 1873 lato było upalne, pobyt też w Zakopanem przeciągał się w jesień. Goszczyńskiego, jak to widać z korespondencji ówczesnej Gillera, jeszcze w październiku nie można było ściągnąć do Lwowa. Utknął w Krakowie, skąd dochodziły wieści, że kaszle i źle się czuje. W Zakopanem bawili nawet pp. Tetmajerowie i przjmowali u siebie gości. Był tam wtedy Stefan Buszczyński i obcował z Goszczyńskim. Pisał poemat o Tatrach, drukowany potem w „Sobótce", księdze zbiorowej na cześć Goszczyńskiego, która wyszła we Lwowie 1875 r. Obok podpisu Buszczyński położył napis: „4 września 1873, w chałupie Jaśka Sobczaka Gąsienicy". A wiersz cały był w tonacji patrjotyczno-społecznej:

Bo jak z gór tych tryskają strumienie,
Tak lud polski podsyca narodu istnienie.

Pani Róża Kruszyńska niewątpliwie już tam będzie robiła ruch koło siebie. Jan Gwalbert Pawlikowski, który nieco później ją poznał, zapytany o nią, taką dał informację:

„Pani Róża Kruszyńska „ukrainka" t. j. z Ukrainy pochodząca i należąca do tamtejszego typu tak swoistego i w swoim czasie modnego, była

osobą bardzo uroczą (nie fizycznie) i gromadziła u siebie poetów, muzyków i t. p. Sama bardzo pięknie grała. W Zakopanem u niej gromadzono się na herbatki muzykalne. Grywał tam też Michałowski. Moi rodzice i Tetmajerowie bywali tam bardzo często. My smarkacze (t. j. ja z bratem, Włodzimierz i Kazimierz Tetmajerowie) zapamiętaliśmy ją dobrze, zwłaszcza z lat nieco późniejszych (po r. 1876"[1])... „Do owego kółka w Zakopanem należeli — dodaje Pawlikowski — Stefan Buszczyński, pani Czarkowska, Grudziński (poeta)". W Zakopanem bywali wtedy Landsberg, Władysławostwo Anczycowie, ks. Janota, ks. Sutor (taternik), Asnyk, potem przybyli ludzie z Warszawy (Kenig).

Rys charakterystyczny tego towarzystwa, który zapamiętał Pawlikowski, to sentymentalizm literacko-ukraiński. Był to wpływ szkoły ukraińskiej poezji, której tradycje wlokły się za Goszczyńskim. Panie ukrainizujące nie mogły darować góralom ich śpiewek i próbowały ich uczyć tęsknych dumek. Znane były w owych czasach typy „kozaka", na które pozowali czystej krwi

[1]) Pani Róża przyzwyczajona była, żeby ją obsługiwano. A że z gospodarstwem w Zakopanem było krucho, lubiła wysyłać młodzież do Nowego Targu po sprawunki. To im dokuczyło.

mazurzy. Obecność Goszczyńskiego nadawała tej modzie znaczenia, niewątpliwie uważano, że dla niego samego należy się tak stylizować.

Tymczasem on sam dawno już zapomniał o swym „ukrainizmie". Cóż, że rodził się tam? Krwi był mazurskiej, a teraz niczego innego takby nie pragnął, jak być właśnie góralem, świadomym — jak lud — tajemnicy Tatr, w których się aniołowie Polsce objawiają. On, który całą istnością „wpijał się w swą Polskę i ciałem i duchem, żył jej życiem, drgał każdym prawym ruchem i dzielił swej Ojczyzny wszelkie przeznaczenia" [2]), chciał teraz wróciwszy w góry, odzyskać dawny ton poetycki. Delektował się wspomnieniami wzruszeń, których tu zaznał w młodości. Robił temi wspomnieniami, jak robi skrzydłami niezdolny już do lotu ptak, ale wzbić się ku słońcu trudno bez gorącego dopływu krwi.

Owe „niektóre prace", o których w liście wspomina, to „Kościelisko", które chciał kończyć. Ludzie i dzieła mają swój czas, który mija, ustępując miejsca nowym. Jak te czasy się zmieniały w poezji tatrzańskiej, o tem — na zakończenie — jeszcze parę słów.

---

[2]) „Posłanie do Polski".

III.

Kartka z dziejów człowieka, którą nakreśliłem, jest jednocześnie rozdziałem z dziejów poezji polskiej nowożytnej, ściślej mówiąc — poezji tatrzańskiej.

Kiedy Seweryn Goszczyński, autor „Sobótki' i „Proroctw ks. Marka", podróżował w Tatry dla „wzmocnienia się górskiem powietrzem i dla prac niektórych", a w gruncie rzeczy dla odnowienia swych dawnych natchnień tatrzańskich, rodziła się już nowa poezja. Nad poetyckiemi Tatrami wschodziła gwiazdka Adama Asnyka, a wkrótce wytworzy się cała konstelacja, w której: Franciszek Nowicki, Jan Kasprowicz, a zwłaszcza Kazimierz Tetmajer, ten, któremu Goszczyński uratował życie, przyjmując go w swoje objęcia. Sędziwy wieszcz, kontemplując u stóp Giewontu swoje dawne wspomnienia, siedział na przełęczy dwu epok, z których do minionej nie było powrotu.

Właśnie w tych czasach zjawił się w Tatrach Asnyk, postać przejściowa między nim starcem, a dzieckiem Tetmajerem. Warto się zastanowić nad wierszem, który ten poeta dedykował Maciejowi Sieczce, owemu przewodnikowi, u którego mieszkał Goszczyński w r. 1873. Mamy tam program nowych czasów poezji:

„Mój przodowniku — mówił do niego Asnyk, — Tyś mnie wiódł przez góry, dając mi poznać ich poezję świeżą, nie zeszpeconą mdłych legend odzieżą. Tyś mnie nauczył czuć ją (naturę) silniej, lepiej, bez wykrzykników i przenośni bladej i w dzikich jej formach... nie szukać natchnień niemieckiej ballady, lecz na nią okiem spoglądać górala.

„Tyś mnie nauczył, drapiąc się na turnie, nie brać przyborów romantycznej muzy i na klasycznym nie stąpać koturnie... ale wesoło bez zawrotu głowy mijać głęboko wycięte parowy...

„Wszystko, coś mówił, miało więcej wdzięku, niż romantyczna daje opisowość, bo mówiąc, miałeś pierś natury w ręku, a każde słowo dziwną miało nowość.

„I nie prawiłeś mi spłowiałej bajki o dziwożonach lub zaklętych skarbach, lecz dym puszczając z swej króciutkiej fajki, Juhasów w żywych malowałeś farbach".

Opowiadania Sieczki — powiada Asnyk — skuteczniej zagrzewały serce, niż „wszystkie Gnomy, Ondyny, Rusałki", co przy Tatrach są jak „kwiat przy kożuchu".

„Tyś czuł, że prawda — piękna, chociaż naga, gdy jest odczuta silnie a głęboko, że tracić musi dzika gór powaga, gdy fantastyczną okryć ją powłoką, i że nie trzeba robić z skał posągów, ani wytwarzać różnych dziwolągów".. [1]

---

[1] A. Asnyk. „Poezje". Warsz. 1898, t. II. S. 202.

Asnyk wyklinał w tych słowach „Sobótkę" Goszczyńskiego, mając na myśli owe dla postrachu sowy, węże, wilki, dziwożony w czapkach, głowy błędne i t. p., a nadewszystko, mając na myśli ten staroświecki charakter dawnej poezji, która patrząc na rzecz wolała jej nie widzieć, aby uczynić coś piękniejszego — brak p r a w d y.

Nigdzie bodaj tak wyraźnie, jak na poezji tatrzańskiej, nie da się zobaczyć, jak wielka odmiana zaszła w sztuce w wieku XIX pod względem obchodzenia się z ową prawdą. Wyjątkowo bezpośredni dostęp miał do niej Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", pozatem panowała konwencja estetyczna, czasami piękniejsza od najpiękniejszych prawd, jak u Słowackiego, ale konwencja. Goszczyński zdobył kartę w historji poezji, jako pogromca konwencji pseudo - klasycznej, a przecież to nie znaczyło, że zwrócił się sam do realizmu w traktowaniu świata zewnętrznego. Romantycy odkryli świat subjektywny dążeń, ideałów i zachwyceń i w tej dziedzinie byli realistami. Świat zewnętrzny był tylko scenarjuszem pojawów ducha. Rzeczywistość było sprawą wtórną. W dolinie Kościeliskiej przecież nie było ani dziwożon, ani wężów, ani wilków, co ciekawsze — nie było nawet obyczaju sobótek u ludu. Dla romantyków istniał lud, ale tylko jako cień idei człowieka, nie przychodziło do głowy przypatrywać mu się in-

dywidualnie ze stanowiska poetyckiego. Osobiście poeta jako człowiek prywatny, był przecież żywy, był demokratą, dzielił z ludem obyczaje, agitował wśród ludu. Goszczyński przecież zawiązując tajny związek góralski w Tatrach, miał wśród ludu przyjaciół politycznych, doskonale znał ich indywidualnie, ale konwencja literacka nie dawała miejsca na to wszystko w sztuce. Kiedy Goszczyński wydał swoją „Sobótkę" z ilustracjami, to się widziało, jak malarz go zrozumiał: wszystkie postacie są jak z teatru amatorskiego, dziewczyny mają trzewiczki wiązane na wstążki, a Janusz to Jontek z „Halki" Wolskiego.

Poezja schodziła z gór idei (wyższych ponad góry) do przyrody. Między nadnaturalistą Goszczyńskim, widzącym lepiej świat nadprzyrodzony od przyrodzonego, a Tetmajerem — stanął Asnyk ze swoim kultem natury, zaczerpniętym z kultu nauki ówczesnej o przyrodzie. Nie był to jeszcze naturalizm artystyczny, ale już podziw dla natury, przekładany z psychologji poznania naukowego na psychologję wzruszeń estetycznych.

Tetmajer jest jeszcze nowszy: nie kontempluje natury, jak Asnyk ze stanowiska idei naukowej, lecz wchodzi w jej łono przez c z ł o w i e k a. Do t. zw. natury niema właściwie innego dostępu poetyckiego, jak przez duszę człowieka natury — przez lud. Wszystkie kołatania do serca i do gło-

wy ludu w czasach nowożytnych (które wytworzyły w rezultacie ubocznie gałąź wiedzy: etnografję), brały początek w poetyckiej potrzebie dotarcia do tajemnic życia. Duch, rozpowity z niemowlęcych więzów, gdy ma dojść do prawdy, rozpoczyna falistą drogę od Boga przez kult rozumu do człowieka i naturaljów, aby znowu wzbić się tą falą wzmożoną w górę. W Tatrach odbył się ten proces poetycki szybko, wskutek niezwykle intensywnego działania tych podstawowych elementów poetyckich w ich zespole: ducha, który ciągle ma na myśli, gdzie jest granica przyrody i nadprzyrodzenia, i człowieka miejscowego z jego mową, wizją i sztuką, które nie należą do przyrody, ale tworzą z nią nierozdzielną całość i do jej tajników wiodą.

Trzeba sobie uprzytomnić, jak wielki jest przeskok od romantycznego traktowania obrazu do realistycznego, widzianego przez oczy ludu. To, co mówi do Sieczki Asnyk, jest bardzo znamienne: „T y ś m n i e n a u c z y ł"... Czego? Widzieć prawdę. Klasyków uczył widzieć Boileau, romantyków — Ossjan, Walter Scott, Byron; naszych poetów już od Asnyka uczy patrzeć chłop.

Nic dziwnego, że pokolenia widzą rzeczy z dwu różnych stron i to pod różnym kątem. Okoliczność to jest ważna i nie pozwala przy porównywaniu stosować jednej miary do talentów różnych epok.

Nie można Goszczyńskiego mierzyć Tetmajerem i kryterjów ostrowidztwa realistycznego „Skalnego Podhala" stosować do „Sobótki". Poeta, szukający w zjawiskach szczytnych przejawów ducha, poprostu nie chciał studjować swych doznań zmysłowych szczegółowo, z natury rzeczy musiał być sumaryczny i raczej operować symbolami, niż konkretami. Dlatego też może niejedna krzywda stała się Goszczyńskiemu, gdy odmawiano jego dziełu wartości artystycznej na tej zasadzie, że w swem malarstwie zbyt był ogólnikowy [1]).

Kazimierz Tetmajer, ze czcią wspominający poetę i jego „Sobótkę", tak o jego talencie pisze:

„Goszczyński nie umiał niestety i ku nieodżałowanej szkodzie przedstawić dawnego górala. Zdaje się, że nawet zamiar taki nie powstał nigdy w jego głowie. Zarówno w „Sobótce", jak i w „Dzienniku podróży do Tatr" opowiedział tylko kilka ciekawych szczegółów. Pod względem chwycenia typu, charakteru Witkiewicz „Na przełęczy" stoi daleko wyżej. Goszczyński notował wprawdzie pieśni góralskie, ale wszystko to niema albo wcale, albo prawie wcale typu, czy charakteru. Widocznie nie miał daru

---

[1]) Istnieją dwie prace analityczne w tej materji: Bogusława Serwina: „Próba charakterystyki twórczości Sew. Goszczyńskiego". Kraków 1908 i Stan. Pazurkiewicza „Poczucie przyrody w twórczości Sew. Goszczyńskiego". Tarnów. 1921.

odczucia chłopa, ani nawet pamięci, bo że chciał i odczuć i zapamiętać, to widoczne. Ale co jedno odczuł, co zapamiętał, co zrozumiał — to fantastyczny świat ducha ówczesnej góralszczyzny. Goszczyński do tego miał specjalne usposobienie. Przedewszystkiem wierzył poprostu w tak zwany nadprzyrodzony świat... Jemu dziwy nie były dziwami i widomie mu grały niewidome „siły", podobnie jak Mickiewiczowi. Ta strona duchowego życia Podhalan zajęła go przedewszystkiem. Ta go znalazła, wyjątkowo usposobionym. I prawdziwy romantyk c h ł o p a k o c h a ł t e o r e t y c z n i e w stosunku do sztuki, a rozumiał... świat fantazji chłopskiej". [1])

Gdzieindziej Tetmajer dodaje do tego:

„Goszczyński talent mało bogaty, pozbawiony zupełnie żywości barw i zdolności wchłaniania w siebie i odtwarzania zewnętrznego świata, cały pogrążony w jednym głębokim i tęgim, ale wązkiego koryta nastroju całe skarby zmarnował, całe skarby miał u nóg swoich... Goszczyński puszcza ich (ciekawe typy) mimo, puszcza cały ten świat. Zbiera i zapisuje pieśni Podhalan, ich podania, ich obyczaje i zwyczaje, opisuje ich dusze, jak opisał ich strój, owszem, on to wszystko widzi i spostrzega, rozumie... ale sam nie umie przetworzyć ani w opis, ani w rapsody epickie nic z tego, co mu się poprostu kłębiło przed oczami. Opisuje, opowiada naturę — to są arcydzieła o d c z u c i a i ogarnięcia z e w n ę t r z n e g o ś w i a t a, ale stworzyć na tem tle nic nie potrafi. Jest romantykiem, bajronistą... nadaje góralom balladowo-romantyczne internacjonalne kształty,

---

[1]) „Słowo". Warszawa 1901, Nr. 262.

tak, że... mogliby również dobrze urodzić się w lasach pod Duesseldorfem, albo Sewillą, jak pod Nowym Targiem — wszystko to, co mówią, myślą i robia, jest pozbawione cech rasowych". [2])

Spostrzeżenia Tetmajera, spadkobiercy Goszczyńskiego, są ważne i trafne, ale zbyt bezpośrednie, bez refleksji historycznej robione. Bo ze stanowiska nowej sztuki nie odpowiadał mu także Asnyk, który, jak widzieliśmy, dopiero się domyślał, że poeta bez przewodnika, jakim jest lud, nie chwyci życia Tatr.

Dla zorjentowania się historycznego w różnicach epok, trzeba sobie przypomnieć filozofję sztuki Goszczyńskiego. Poeta ten widział w poezji służebnicę idei. „Zewnętrzna forma poezji... zajmuje miejsce bardzo podrzędne". Formie wysługują się zmysły, rozum, ale jest siła twórcza ważniejsza — „c z u c i e d u c h o w e". Ono łączy poetę z Bogiem i jest wieczne. „Tu zstępuje duch Boży, tu padają natchnienia wielkich uczuć, wielkich myśli, wielkich prawd, wielkich czynów"...

„Poezja jest pierwszem dzieckiem, pierwszym głosem religji, o tyle więc jest poezją, o ile zasila się w swojem źródle, żyje prawdami i pięknościami religijnemi". „Na-

---

[2]) W art. „Poeci Tatr", „Nowa Reforma" 1908. To samo szerzej w książce „Notatki literackie". Warsz. 1916. S. Orgelbrand, str. 3 i n.

rzędziem przeto poezji jest władza duchowa. Są muzycy języka, są malarze języka, ale to nie są poeci. Powstają sztukmistrze dla sztuki, ale to poeci najjałowsi. Występują poeci zmysłów, namiętności cielesnych, ale ich natchnienia są natchnieniami zwierzęcemi, ze krwi... Jedni tylko są poeci prawdziwi — t. j. poeci ducha, poeci poświęceni natchnieniami świata duchowego i służący tylko sprawie najwyższej prawdy i piękności".

Wyjmuję te słowa z rozprawy Goszczyńskiego „Stanowisko poetów w społeczności". Ale ktoby mi powiedział, że są to poglądy późniejsze, pod wpływem przemiany religijnej, która się już zaczęła w r. 1841-ym, to powołam się na młodzieńcze utwory Goszczyńskiego z lat 1826 — 29 (Do młodego poety, Orzeł, Powołanie, Błędy genjusza), gdzie już jest ta sama zasada romantyczna czucia duchowego, jako odrębnego stanu psychicznego, czyniącego z poety „cząstkę bóstwa".

Historyk literatury z wielkiemi zastrzeżeniami brać musi pod rozwagę wszelkie tego rodzaju bezpośrednie zestawienia twórczości dwu różnych epok. Czego innego szukał w Tatrach Goszczyński, czego innego Tetmajer. Ten był produktem odmiennej szkoły. Tetmajerowi ustawili kąt widzenia świata ci w pokoleniu Asnyka, którzy zburzyli filozofję romantyczną i poezję „spoganili". Poeci Asnyka i Tetmajera szli w Tatry już bez „przyborów romantycznych", stali się przedewszystkiem

artystami, szukającymi konkretu i reakcyj zmysłowych. I doszli tutaj do wielkich istotnie rezultatów. Nie śniło się Goszczyńskiemu, że pióro poety może oddać — jak u Tetmajera — muzykę ciszy po malarsku w mgłach poranku, nasyconych barwami od słońca, że może stworzyć tak cudny pejzaż, grany na nastroju duszy czytelnika. Odeszłaby mu ochota brania pióra do ręki, gdyby widział, jak Tetmajer potrafi z tych samych górali, których on marzył, wykonywać homeryckie postaci nadludzi, w rzucie naturalistycznym, barwnym, rozsłonecznionym.

Co się złożyło na tę przemianę metody tworzenia? 1) Zlikwidowanie teorji piękna i natchnienia jako sił udzielających się artyście zzewnątrz, 2) przeniesienie punktu ciężkości na artyzm przedewszystkiem odtwórczy. Z artysty opadła religja, filozofja, nawet literatura i stał się nagi (naga dusza), objektywny, jak aparat odbiorczy. Ideałem jego stała się klisza wzrokowa ludzi prostych, wychowanych wśród przyrody. Opowieści Sabały, zebrane przez Stopkę, stają się niejako miarą wartości artystycznych poezji literackiej.

I tutaj rys charakterystyczny. Nowa sztuka tatrzańska, zlikwidowawszy „czucie duchowe" romantyczne, musiała jednak zastąpić je czuciem duchowem naturalistycznem. Nie mówiło się już o ideach, prawdach, czynach, płynących z ducha

Bożego, czy ducha wszechświata, lecz o dobrem widzeniu zjawisk przyrody, o wczuciu się w ducha ludu górskiego, ducha Tatr...

Podczas gdy Goszczyński zaczyna od idei i dla niej szukając umieszczenia w górach, zaludnia je przedewszystkiem tworami ze świata fantazji (ducha), Tetmajer całą energję twórczą skupią na konkretach świata przyrodzonego. Sam nie ma żadnej idei, wystrzega się jej. Mimowoli jednak sztuka jego wpadając w promienie duchowości ludu, odbywa drogę odwrotną od tej, którą przebywa sztuka Goszczyńskiego: od kształtów, postaci zmysłowych podąża do wyrażenia tego czegoś, czego zjawiska są tylko wcieleniem — do symbolu rzeczy duchowych. Występuje utajona w przyrodzie tęsknota do wiekuistego bytu.

Ponieważ dostępu do tajemnic ducha Tatr sztuka poszukuje w instynktach ludu, więc rychło — już u Tetmajera — wpada ona w mitologję, właściwie na drogę tworzenia wespół z ludem mitów. Poezja nie da zamknąć się na długo w ramach podziwu i rozumienia natury ze stanowiska poznawczego, jak to się zdawało Asnykowi, a nawet J. G. Pawlikowskiemu. Ostatni z nich, jak to pokazałem gdzieindziej [1]), tak przepoił przyrodę animistycznem widzeniem, że ujrzał bóstwo,

[1]) Myśl Narodowa Nr. 7 z r. 1929.

z żywiołów wyłonione (Trygław), a Pawlikowski młodszy obecnie w „Bajdzie o Niemrawcu" widzi świat tatrzański jako stałe obcowanie ludzi z żywiołami przyrody, upostaciowanemi. Początek dał Tetmajer, tworząc w powieściach tatrzańskich nadludzi. Dzieje się z poezją w skórze ludowej, jak z owym Sablikiem, który wziąwszy na się skórę baranią, podchodził kozła [2]). A kozieł go wiódł za sobą, a ten się zaciekał, aż znalazł się za światem, skąd się już nie wraca. Bo duch ludu prowadzi tam, skąd przyszedł Goszczyński.

Spór, który wiodła z romantyzmem sztuka nowa, rozciął poeta z ludu, w swojej skórze naturalnej, Jan Kasprowicz, który w Tatrach Boga wprost odnalazł, jako swoją osobistą własność — nie literacką.

Na sztuce tatrzańskiej widzimy w skrócie, jak odbyła się ewolucja sztuki w drugiej połowie XIX w. Polegała ona nie tylko na zamianie „przyborów" romantycznych na jakieś inne filozoficzne, nie tylko na przerzuceniu się z treści na formę; pogłębił się swoisty stosunek autora do dzieła przez wydobycie cech rasowych i znakomicie wzbogaciły się środki artystyczne. Sztuka usamodzielniła się pod suwerennemi rządami artyzmu.

---

[2]) „Legenda Tatr. Janosik Nędza Litmanowski". W rozdziale końcowym.

Tło tatrzańskiej twórczości jest tak swoiste wskutek szczególnego działania przyrody na artystę, że odcina tę twórczość w jakiś świat sztuki odrębny. Sztuka tatrzańska potrafi rozdwoić talent, biorąc z niego to, co w nim jest siłą. Tetmajer jest inny, gdy tworzy jako literat światowy, inny jako taternik. Świat go poznał jako poetę, którego stanem duchowym jest: „zwątpienie, nuda, szyderstwo, wstręt i przeczenie". Sam chwalił się: „Melancholja, tęsknota, smutek, zniechęcenie, są treścią mojej duszy"... Feldman w swojej historji określił go jako poetę znużenia i rozpasania zmysłów, a jednak dla poety tatrzańskiego musiał potem znaleźć miano inne — Homera. Tłumaczył zaś sobie tę dwoistość tem, że Tetmajer „w miastach chorował przez cywilizację", a w górach „skąpał się w powietrzu ojczystem, zaczerpnął sił, zdrowia i t. p. [1]).

Zapuściwszy się w czasy nowe, zapomnieliśmy, że punktem wyjścia naszego był dom Macieja Sieczki w Zakopanem w r. 1873, że tam zostawiliśmy Goszczyńskiego.

Znalazł się on w górach, aby skończyć swoje „Kościelisko", zaczęte w r. 1832. Słuchał pewno opowiadań Sieczki, jak Asnyk i Tetmajer, ale czy

[1]) W. Feldman. „Piśmiennictwo polskie", t. II. Lwów, 1905, str. 77.

mógł wziąć go za swego przewodnika w tym kierunku, w którym nastawiona była jego dusza od lat kilkudziesięciu? Patrzył na Giewont, był w Kościeliskiej dolinie, schodził okolice Łopusznej; nie wracało dawne wzruszenie poetyckie. Nietylko starość organizmu była przeszkodą. Duch reagował w inny sposób. Pamięć dawnych stanów uczuciowych nie dawała się odtworzyć przez odświeżenie, bo nie był to już romantyk pierwotny, w którym wyobraźnia paliła się od idej filozoficznych; był to duch w długoletniej praktyce religijnej (w „Służbie Bożej") całkowicie odzmysłowiony i poezja typu „Sobótki" nie leżała już na linji jego możliwości twórczych.

Po powrocie do Lwowa 30 grudnia 1873 odpisuje K. Wójcickiemu do Warszawy na propozycję wydania „Sobótki": „O Sobótce niema mowy, bo właśnie pracuję nad jej wykończeniem i zrobieniem całości, której Sobótka jest tylko ustępem" [2]). Więc jeszcze się łudził.

Ma rację prof. Stan. Pigoń w swojem doskonałem studjum nad materjałem, jaki został do „Kościeliska" [3]), że brak materjału nie mógł stać na

---

[2]) W archiwum Muzeum Rapperswilskiego.

[3]) „Uwagi o genezie i zakroju „Kościeliska" S. Goszczyńskiego" w „Pamiętniku Literackim", zesz. I z r. 1929, s. 40.

przeszkodzie wykonaniu poematu. Przyczyny były psychicznej natury.

Mógłby raczej wykończyć ten poemat w Galicji przed oddaniem się nauce Towiańskiego, ale wtedy popsuł sobie robotę, wydzierając z materjału „Sobótkę" dla „Ziewonji". Znane artystom zjawisko, że dzieło raz wydane na widok publiczny, staje się odcięte od twórcy i tak zobjektyzowane przez niego, że już mu do duszy nie powraca. Cały dalszy pomysł w swej potrzebie realizacji mógł w ten sposób być zasycony na czas dłuższy. Ale w żadnym razie nie podobna wrócić do realizacji po 30-letniej uprawie ducha w służbie czynnej religijnej, skierowanej do zabicia życia zmysłowego. Można do przyrody przystępować bez „przyborów romantycznych", ale bez zmysłowego nastawienia niepodobna.

A szkoda, że nie skończył. Dopiero z pomienionej pracy St. Pigonia można nabrać wyobrażenia, jak szczytne byłoby w tym poemacie upostaciowanie najgłębszej idei Goszczyńskiego, która go jako człowieka wysoko postawiła w historji narodu polskiego — idei poświęcenia.

1929.

5. NA WYŻYNACH KULTURY

Życie i prace Jana Gwalberta Pawlikowskiego.

> Hasło powrotu do przyrody... to hasło walki o najwyższe dobra kulturalne.
>
> *J. G. Pawlikowski.*

MÓWIĄC o charakterze Polaka wogóle, a zwłaszcza oświeconych przedstawicieli danej epoki, niezbyt konkretnie przedstawiamy sobie obraz psychologiczny, jak wygląda wnętrze ludzi, których mamy na myśli. Sądzę, że w tej mierze wiele ma do zrobienia nie tylko powieść. Portret literacki wyróżnionej w piśmiennictwie czy życiu społecznem jednostki daleko plastyczniejszy da nam obraz, niż ogólnikowa charakterystyka typu danej epoki. Dla przykładu obieram postać Jana Gwalberta Pawlikowskiego, którego uważam za jedną ze szczytowych postaci w kulturze polskiej na zbiegu dwu stuleci. Da mi to

sposobność ukazania w całości człowieka zasłużonego, znanego tylko fragmentami; więc i ten cel publicystyczny będzie osiągnięty w roku dla Pawlikowskiego jubileuszowym. Pięćdziesiąt bowiem lat upływa w tym roku, odkąd dał się poznać jako pisarz.

Powinienem w tem miejscu dać jego fotografję, a pod nią dodać do nazwiska drobnym drukiem: Członek krakowskiej Akademji Umiejętności, członek Tow. Naukowego we Lwowie, kawaler orderu Odrodzenia Polski, członek prezydjum Państw. Rady ochrony przyrody, b. profesor Wyższ. Szkoły rolniczej w Dublanach, b. prezes stronnictwa Demokratyczno-Narodowego w zaborze austrjackim, b. prezes Związku Naukowo-Literackiego we Lwowie, redaktor „Wierchów" i t. d. Szkic mój jednak nie będzie uzasadniał wszystkich tych tytułów i zasług, ma on zadanie raczej psychologiczne, do czego potrzebna jest też biografja, zadanie raczej literackie, niż publicystyczne.

Ten objektywny charakter rozbioru osobistości żyjącej ma tę przykrą dla piszącego i opisywanego stronę, że dokonywa się na zimno. Sądzę jednak, że Pawlikowski mi to wybaczy, korzystam bowiem z praw historyka wobec człowieka publicznego, będącego własnością wszystkich, aby przytem pofolgować nieodpartej potrzebie podzielenia

się z szerszemi kołami widokiem niepospolitego zjawiska kultury polskiej, które stoi mi w oczach od chwili, gdym je objął wzrokiem w całości.

I.

Kiedym poznał Jana Gwalberta Pawlikowskiego — było to we Lwowie w r. 1902 — głośny był jego brat Tadeusz, dyrektor teatru, związany silnie z ogniskiem Młodej Polski. Przed laty poznałem w Krakowie ojca ich, Mieczysława, redaktora „Nowej Reformy". Interesowałem się tem nazwiskiem, związanem z Medyką i słynnemi zbiorami bibljotecznemi; wiedziałem z dziejów Ossolineum o protoplaście, który dał początek tej dynastji szerzycieli kultury i twórców. Z zainteresowaniem czytywałem w „Tygodniku Ilustrowanym" w r. 1897 powieść Mieczysława Pawlikowskiego „Baczmahę".

Jan Gwalbert Pawlikowski, właściciel Medyki, mieszkał, tak jak teraz, we Lwowie przy ul. Trzeciego maja, 5. W ogrodzie tegoż domu, w zbudowanym specjalnie pawilonie, mieściła się owa słynna bibljoteka Pawlikowskich, pozostająca pod opieką znakomitego historyka, Ludwika Kubali. Dowiedziałem się wtedy dopiero o Janie Pawlikowskim, że jest ekonomistą, profesorem ekono-

miki w wyższej szkole rolniczej (późniejszej Akademji) w Dublanach pod Lwowem, że w Zakopanem ma piękny dom stylowy na Kozieńcu, że życie swoje dzieli między Dublany, Zakopane, Lwów i Medykę. W tym porządku. We Lwowie widzialny jest w Związku Naukowo-Literackim. Tutaj właśnie z nim się zetknąłem.

Związek, założony przez prof. Kalinę w r. 1896, po paru latach wegetowania ożył, gdy weszli do zarządu z Pawlikowskim, Jan Popławski, redaktor „Przeglądu Wszechpolskiego", Zdzisław Dębicki, Jan Kasprowicz, Alfred Wysocki, prof. Marcin Ernst, Ernest Łuniński i inni. Wybrano wtedy prezesem Pawlikowskiego. W r. 1903 na wiosnę znalazłem się i ja w zarządzie i odtąd z Pawlikowskim oraz z Kasprowiczem do samej wojny w nim pozostawaliśmy. To mi dało możność poznania bliżej Pawlikowskiego. A tu jedynie można było poznać go całego, jako człowieka inicjatywy, pracownika, przedewszystkiem zaś jako uniwersalność wiedzy. Dzięki niemu mogło powstać przy Związku wydawnictwo książkowe „Wiedza i życie", które w kilkudziesięciu tomach poruszyło najżywotniejsze zagadnienia filozofji, nauki i literatury. Redaktorem tej bibljoteki był Pawlikowski. W lokalu Związku miała parę lat siedzibę Szkoła nauk politycznych, którą prowadził Pawlikowski wraz z rektorem Ochenkowskim.

Związek urządzał w ciągu roku 20 do 30 zebrań odczytowych z dyskusją na tematy, które w danym momencie najżywiej interesowały literatów, publicystów, artystów. Pawlikowski w każdym wypadku mógł być jeśli nie prelegentem, to korreferentem. Wymienię niektóre odczyty, które sam wygłosił: O słowie, jako elemencie sztuki poetyckiej, O stylu zakopiańskim, O współczesnej nauce rolniczej (1902), O przedstawianiu barw w poezji, O Królu Duchu (1904), O źródłach i pokrewieństwach towianizmu (dwa odczyty 1906), O mistyce Słowackiego (1907), O krainie duchów w wierzeniach naszej mistyki romantycznej, Słowacki o przyszłym człowieku (1908), O mesjanizmie polskim (dwa odczyty), O nieznanym rapsodzie Króla Ducha (1909), Styl jako zjawisko społeczne.

Rozległa wiedza Pawlikowskiego znajdowała sympatyczne ujście w środowisku tych zebrań; on sam odczuwał potrzebę głośnego myślenia i wymiany myśli. Był też duszą Związku. Imponował mi rzadko spotykanym darem interesowania się wszystkiemi zagadnieniami nauki, sztuki i życia. Życie ludzkie, przyroda, były dla niego czytelnemi księgami, niby pierwszemi tomami leksykonu nauki, kultury i literatury. Umiał podchodzić z właściwej strony do każdej dziedziny, rozumieć je jasno, a każda rzecz budziła w jego umyśle od-

ległe związki i filozoficznie się pogłębiała. Miał to w kulturze umysłu, że mu się nie plątały metody dochodzenia każdej z tych rzeczy. Nie był literatem-estetą tam, gdzie trzeba było być ekonomistą i odwrotnie, tak samo kąt widzenia polityczny nie zlewał mu się z filozoficznym. A jednak był w nim na spodzie, przed progiem intelektu, jakiś zaczyn, który dla tego wszystkiego, jak dla gałęzi, tworzył pień, karmiący każdą myśl i decyzję żywotnemi sokami.

Było coś antycznie perypatetycznego w biesiadach, które się przeciągały do północy poza salą odczytową przy herbacie w kawiarni. Te ściślejsze gawędy były nieraz pożyteczniejsze od publicznych. Tu kiełkowały idee, a co ważniejsza, umysły przywykały do wyżyn. Przypisywałem to wpływowi Pawlikowskiego, który u siebie w duszy przeniósł wszystkie upodobania osobiste w sferę życia umysłowego. Najmniejszej nie czuł potrzeby t. zw. używania życia, albo wyróżniania się z tła swemi przewagami osobistemi. W naszem środowisku literacko - cygańsko - proletarjackiem choćby z powodów swej niezależności materjalnej łatwo mógł się kusić o tytuł mecenasa czy amfitrjona; tymczasem z niego raczej trzeba było brać przykład umiarkowania potrzeb i rachunkowości. Zrównoważony duchowo, opanowany był w nerwach; zawsze równie pogodny, z uwagą zawsze

słuchany, przepięknie sam słuchał. Nie robi z siebie słońca wesołości, ale zawsze umie dyskusję podniecić doskonałym dowcipem. Pogoda Pawlikowskiego nie jest słoneczna i nie jest bez melancholji; daje światło rozproszone jak z lampy alabastrowej. Światło czyjeś razi, gdy rzuca promienie, zmuszające interesować się osobistością bezpośrednio. Pawlikowski — jeśli wolno pomagać sobie porównaniami — jest jak domostwo z zapuszczonemi firankami; gdzieś świeci się w ostatnim pokoju; ale osoby nie widać, nie wystawia się na przyzbę domostwa. Światło swoje rozprasza w rzeczach, któremi zniewala uwagę słuchaczy, ale sam jest ukryty, sobą nie zajmuje nigdy. Ze szranków spraw osobistych chętnie się wycofuje. Wszystko mu się jawi — napozór — objektywnie. Zna rzeczy wesołe i chętnie niemi się dzieli, ale sam raczej smutny. Robi wrażenie człowieka samotnego. Własny świat wewnętrzny mu wystarcza i w nim przebywa. Nie widać, by potrzebował oparcia w kimś uczuciowego. Wierny i lojalny w przyjaźni, nie uzewnętrznia łatwo swych uczuć. Stoi sam.

Tak go pamiętam. Dla rysopisu dodam, że jeśli się czem wyróżnia zewnętrznie, to chyba w ubraniu, lubi mianowicie nosić białą kamizelkę i biały krawat, co łącznie z kolorytem głowy daje całości jasny charakter, budzący zaufanie do ogólnej

czystości charakteru osobistego. Szczupły, wysokiego wzrostu, w okularach, z zarostem siwym króciutko przystrzyżonym i słabem już owłosieniem czaszki, postawę ma zawsze młodzieńczą. Gdy się wiedziało, że od młodości był zawołanym taternikiem, robił wrażenie przebranego górala — zwłaszcza z powodu długich nóg, zakończonych niezwykle małemi stopami, na których innyby się przewrócił. A przypomina górala także dużym i pewnych chodem, doskonały do dzisiaj piechur.

Mógłby ktoś wyobrażać sobie, że jednostka w tych warunkach niezależności materjalnej i upodobań umysłowych musi być rodzajem sybaryty intelektualisty i estety, który się spala łagodnie w uciechach umysłowych. A jednak, kiedy w r. 1903 nowopowstające stronnictwo Demokratyczno-Narodowe przystąpiło do organizawania kadrów, Pawlikowski stanął w szeregach jako polityk, zgodził się objąć prezesurę zarządu i obowiązek, związany z tym posterunkiem, pełnił doskonale aż do wojny [1]). Prawda, miał koło sie-

---

[1]) Z tego czasu i późniejszego w druku ocalały następujące wystąpienia Pawlikowskiego:

W rocznicę konstytucji 3 maja (przemówienie w sali ratuszowej lwowskiej) Słowo Polskie, 1908 Nr. 218.

Mowa noworoczna, wygłoszona do prof. Głąbińskiego. Sł. Pol. 1909, Nr. 2.

bie ludzi tęgich a roboczych, jak Głąbiński i Grabski Stanisław, ale nigdy nie dał dowodu psychologicznego (nie mówiąc już o moralnym), że mu ciąży rola działacza. Wiem, że upodabania najgłębsze Pawlikowskiego nie dążyły w tę stronę, nie wątpię, że lepiej się czuł w sferze zatrudnień intelektualistycznych; ale jest to człowiek tak dużej kultury duchowej, że świadomością potrafi wymóc na swej organizacji psychicznej każdy ze swej woli użytek, i to użytek doskonały. Pawlikowski zrzekł się prezesury stronnictwa po wojnie w r. 1919 na rzecz Jana Rozwadowskiego.

Jeszcze jeden rys. W społeczeństwie nowożytnem „elita" nosi na sobie piętno zajęć zawodowych. Próżno byśmy szukali dla Pawlikowskiego typu zawodowego, do któregoby on należał. Jest człowiekiem wolnym, czego nie można powie-

---

Emigracja sezonowa. Odpowiedź na ankietę Słowa Pol. 1909, Nr. 370 i 372.

Stronnictwo Dem.-Nar. wobec ostatnich wydarzeń politycznych. Słowo Pol. 1910, Nr. 265 (streszcz.).

Mowa na zebraniu członków str. Słowo Pol. 1910, Nr. 228.

Obrona narodowa i jej organy. Goniec, 1910, Nr. 887 i 890.

Szanowna aprobata dla nieszanownej roboty. Słowo Polskie, 1911, Nr. 246.

Przemówienie na wiecu, Sł. Pol. 1911, Nr. 316.

Zjednoczenie (art. progr.) w dwutyg. „Zjednoczenie" Lwów 1915, Nr. 1.

Figle nie w porę. Tamże, Nr. 2.

dzieć o ludziach nawet wśród zawodów wolnych. Może najbliżej mu do typu „profesorów". Nie odpowiada mu miano literata według wyobrażeń o literacie zawodowo zarobkującym, skrzętnie ciułającym pomysły i dla tego zamykającym swoje wnętrze. Pawlikowski woli mówić, niż pisać. Ma w sobie istotnie coś z greckiego filozofa perypatetycznego. Tylko cząstka nieznaczna jego wykładów dostała się do druku, niektóre tylko zanotowano w prasie w streszczeniu. Pawlikowski hojnie rozsypywał swoją wiedzę, a jako prelegent był niezrównany. Wynotowałem wyżej kilka zapamiętanych odczytów w Związku Naukowo-Literackim, ale wszystkich zliczyć niepodobna [1]. Ta

[1] W serji wykładów powszechnych, które przed wojną urządzał uniwersytet lwowski, Pawlikowski wygłosił 6 odczytów o pedagogji, na jednem z przedmieść słyszałem wykład jego o pieniądzu, gdzieindziej 3 wykłady o rzemiośle, robotnikom mówił o Słowackim w poezji, w Kole Literackiem o problemach współczesnej twórczości, na obchodzie uniw. z powodu sprowadzenia zwłok Słowackiego, o prometeizmie w „Królu Duchu". W r. 1900 szereg wykładów popularnych o rozwoju stosunków społecznych w 19-ym wieku; wyjeżdża do Krakowa z odczytem na zaproszenie młodzieży. W r. 1910 miał wykład w Collegium Novum o estetycznych wartościach „Genezis z Ducha". A ciekawe to było zdarzenie, bo oprócz „Głosu Narodu" żaden dziennik krakowski nie dał o tym wykładzie wzmianki z tego powodu, że urządzała go młodzież narodowa. W r. 1913 wy-

forma wypowiadania myśli jest dla Pawlikowskiego najodpowiedniejsza, mianowicie odpowiada budowie jego duchowej, mocno ześrodkowanej i jednolitej, rodzącej dojrzałe słowo. Zawodowość rozszczepia natury według specjalnych funkcyj, czyniąc z ludzi instrumenty. Literat zawodowy nie umie mówić, słowo jego barwi się tylko na papierze, nie da się słuchać; mówca zawodowy idzie cały w dzwon, a słowo jego zapisane niema często żadnej formy i znaczenia: Pawlikowski mówi po literacku — równie dobry jest w żywem, jak i w pisanem słowie, a ma wielki urok suggestywny pracy myślowej, dokonywanej pospołu z odbiorcą słowa. To umiłowanie i ta umiejętność obcowania duchowego z ludźmi czyni z Pawlikowskiego w sposób naturalny działacza społecznego w zakresie kultury.

Miałem możność patrzeć porównawczo w rozmaitych okolicznościach na dwu często z sobą obcujących ludzi: Pawlikowskiego i Kasprowicza. To było bardzo ciekawe zestawienie. Dwa najlepsze egzemplarze kultury polskiej, na najwyższym poziomie cywilizacji zachodniej, urodzeni nawet

---

głosił kilkanaście wykładów w Poznaniu o „Królu Duchu". Wykładał w Warszawie i Lublinie o ochronie przyrody, w Przemyślu — o „Samuelu Zborowskim", w Zakopanem co roku ma wykłady (O dawnem Zakopanem, o turystyce dawnej i nowej, o ochronie Tatr i in.).

w jednym roku, a przecież jakże trudno pomyśleć większą odmienność natur. Przypadli do siebie na dużej powierzchni zainteresowań; nie różnili się przekonaniami politycznemi, rozumieli się, w wielu rzeczach równali się wiedzą, szanowali się, mieli dla siebie więcej bo wzajemny podziw; a jednak byli to ludzie różnego typu. Nie wpadli w siebie temperamentami.

Kasprowicz funkcjonował psychicznie całym swoim ustrojem: albo gasł do temperatury zera i niżej, albo — jeśli miał dobyć z siebie siłę, choćby do niewielkiej czynności duchowej — poruszał w sobie całą organizację, podgrzewając ją do wysokiej temperatury. Był niezłożony, raczej nie rozłożony na części, i reagował całą osobistością, zawsze w bezpośrednim stosunku osobistym do rzeczy. Wiedzę swoją, która mu otworzyła drogę do katedry, zdobywał entuzjazmem, bezpośredniem chłonięciem na własność poetycką. Gdy mu obowiązek kazał być dydaktą na katedrze, założył okulary, był suchy i męczył się.

Pawlikowski trzyma od siebie świat w dystansie poznawczym. Interesuje się nim przez poznanie. Czy angażuje się w cokolwiek uczuciowo, tego po sobie poznać nie daje. Wszystko przełamuje się przez jego intelekt, nic w nim napozór niema bezpośredniego. Więc w porównaniu z Kasprowiczem, który miał na wszystko odpowiedź w re-

akcji uczuciowej, Pawlikowski jest skoncentrowany w mózgu.

Na tem bodaj polega postęp, dokonywany w rozwoju typu przez kulturę, że świadomość intelektualna zagarnia w życiu psychicznem coraz szersze obszary pod swoje mocne rządy. Surowa natura, odruchowa, emocjonalna, ulega rygorowi intelektu i szuka do niego dostępu drogami intelektualizacji. Człowiek kulturalny ma życie wewnętrzne uregulowane — rzec można — konstytucyjnie. Nie znaczy to jednak, że trzeba go zawsze zaliczać do typu tych intelektualistów, którym krew nie dochodzi do mózgu. Intelekt Pawlikowskiego nie jest chłodny, żywo się komunikuje z systemem uczuciowym, tylko ten system jest dobrze uszczelniony od zewnątrz i nie przejawia się bezpośrednio. Wyraz jego zewnętrzny nie jest nigdy patetyczny, ma barwę refleksyjną, jakby wszystko w jego duszy było tylko objektem dla rozważającej świadomości.

A jednak, jak życiorys świadczy, Pawlikowski jest człowiekiem kompletnym, nie obca mu jest dziedzina działania praktycznego, emocji i walki. Intelekt jego nie jest izolowany ani od wzruszeń uczuciowo-popędowych, ani estetycznych, zwłaszcza od tych ostatnich. Co więcej, kompletność ta wypływa nie z każdorazowych aktów przymusu intelektualnego, lecz stąd, że jego życie duchowe

przedstawia jedność organiczną. Weźmy zasadniczy rys uczuciowości Pawlikowskiego — miłość ziemi. Kocha ją we wszystkich przejawach i użytkach — że karmi, że piękna, że jest postacią życia powszechnego, że jest podstawą życia narodu.

Życie człowieka maksymalnie wyrośniętego w kulturze, wolnego i nieprzymuszonego w wyborze dróg, tłumaczy się niemal całkowicie motywami jego potrzeb wewnętrznych. Na owe czasy galicyjskie, był to rzadki typ człowieka wolnego, umiejącego z wolności korzystać.

Ciążenie duszy Pawlikowskiego było zawsze nacjonalistyczne, nie tylko z powodu czystości zasad politycznych. Patrjotyzm Pawlikowskiego jest już z tej wyżyny kultury uczuć, na której postępowania się nie racjonalizuje. Nie mógłby nie być patrjotą — nie dałoby się pomyśleć Pawlikowskiego np. jako Polaka, którego utrzymuje w równowadze życiowej ciążenie do Wiednia.

Kultura daje człowiekowi styl przez to, że automatyzuje. Człowiek prawdziwie kulturalny jest etyczny, bo już jest poza dowolnością pokusy, nie może robić źle. Pawlikowski, jako gospodarz cywilizacji polskiej, tak się do niej ustosunkował, że jest z nią jednością. Stworzył sobie świat samostarczalności polskiej. Nie mógł pójść na bezdroża polityczne, bo wogóle nie wałęsał się. Jemu jest w Polsce dobrze. Rzecz charakterystyczna,

że nigdy nie czuje potrzeby „odświeżania się" zagranicą; siedzi w kraju i w nim znajduje coraz ciekawsze nowości. Nigdy też nie słyszałem z ust jego narzekania na Polskę, na jakiekolwiek warunki, w których źleby się czuł.

To go w Polsce różni od tłumu oświeconego akurat w tej proporcji, w jakiej się różni prawdziwa kultura od pseudokultury.

Przyjrzyjmy się bliżej konstytucji Pawlikowskiego, ale przedtem jeszcze trochę danych biograficznych i bibljograficznych.

II.

Gniazdem Jana Gw. Pawlikowskiego jest owa przepiękna Medyka pod Przemyślem, gdzie to król Jagiełło, słuchając słowików, przeziębił się śmiertelnie. Już wówczas był tam koło dworu piękny park, istnieje on dotychczas.

W ośmnastym wieku Medyka należała do Lubomirskich; do Pawlikowskich przeszła po rozbiorach. Ród Pawlikowskich, herbu Cholewa, wywodzi się z ziemi Łęczyckiej, w prostej linji od Klimka de Liczki z Pawlikowic, które ten nabył pod koniec XIV wieku od krewniaków[1]). W Medyce

---

[1]) Szczegóły te biorę od Macieja Szukiewicza z miesięcznika „Teatr", Nr. 10 z r. 1929 (lipiec).

osiadł dziad Jana, Gwalbert Pawlikowski, który majątek swój uświetnił słynnemi zbiorami. W r. 1849 wojska rosyjskie, wezwane do gaszenia pożaru na Węgrzech, spustoszyły pałac medycki. Wnet potem, w obawie, że takie najścia mogą się powtórzyć, przeniesiono zbiory bibljoteczne do Lwowa. Syn Gwalberta, Mieczysław, był wtedy piętnastoletnim chłopcem. Wyrastał w atmosferze Medyki na literata, zaczynającego od poezji. A Medyka odgrywała wówczas w Galicji taką rolę, jak Puławy za Czartoryskiego. Gwalbert ożeniony był z Henryką Dzieduszycką, córką adjutanta Kościuszki i siostrą Tytusa, mającego literackie, wzorem wielu Dzieduszyckich, upodobania. Mieczysław objął Medykę po śmierci ojca w r. 1856, ożenił się z Heleną Dzieduszycką, córką Eugenjusza. Bujnie kwitnąca umysłowość skierowała go na drogę pisarską. Bibljografja notuje jego poezje, powieści, publicystykę. Brał udział w powstaniu 1863. Z Medyki wyszły oddziały Borelowskiego (Lelewela), stąd wyruszył do oddziału Mieczysław Romanowski.

Mieczysław Pawlikowski uwięziony był wraz z Tadeuszem Romanowiczem; wypuszczono go z Ołomuńca 1866 r. Syn najstarszy Mieczysław Jan Gwalbert Pawlikowski, urodzony 18 marca 1860 r. chował się wtedy zagranicą. Po katastrofie p. Pawlikowska wyjechała z synami Janem i Tadeuszem

do Szwajcarji i tam doczekała się powrotu męża. Wróciwszy do kraju, Pawlikowscy mieszkali jakiś czas w Radziszowie pod Krakowem, a w r. 1817 przenieśli się do Krakowa i oddali syna do gimnazjum św. Anny. Szkołę tą Jan ukończył w r. 1878, poczem zapisał się na uniwersytet.

Jan Pawlikowski zapisał się zrazu na wydział filozoficzny uniwersytetu krakowskiego, ale po pierwszym semestrze przeniósł się na wydział prawny. Dopełnił potem studjów w Wiedniu, doktoryzował się w Krakowie w r. 1885. Wszechstronne zainteresowania umysłowe potrafił podporządkować nakazowi obowiązku: przygotował się do roli gospodarza rozległych włości rodzinnych. Studjował przeto rolnictwo w Halle nad Salą, potem w Dublanach, w Wiedniu zaś — ekonomję u Karola Mengera i Neumann-Spollarta. W roku 1887 osiadł na roli w Medyce i tu rozwinął szeroką działalność gospodarczą i obywatelską.

W r. 1891 szkoła rolnicza w Dublanach zaofiarowała mu katedrę ekonomiki. Przyjąwszy ją, zrazu w ciągu dwu lat dojeżdżał do Dublan z Medyki co tydzień na dwa dni wykładów, ale ponieważ było to zbyt uciążliwe, a wykłady, traktowane poważnie, rozszerzały się z roku na rok, profesor przeniósł się w zimie 1892/3 do Lwowa.

Pawlikowski zajmował katedrę w Dublanach 13 lat do r. 1904. Wykładał nauki społeczne z ekono-

miką i statystyką, a najwięcej pracy wkładał w ekonomikę gospodarstwa wiejskiego, samodzielnie opracowaną [1]. Ciążyły na nim jednocześnie obo-

[1]) Z prac Pawlikowskiego w zakresie ekonomicznym i rolniczym wymienię następujące:

Wyższa szkoła w Dublanach. Fakta i uwagi. Kraków, 1886. Nakładem N. Reformy. — W roku jubileuszowym tytoniu (fejl.). Nowa Reforma 1889, Nr. 29 — 32. — Z dziedziny rolnictwa: cykorja. Tamże 1889, Nr. 58. — Sole potasowe. Tamże, 1887, Nr. 70. — Nauka rolnictwa w szkole ludowej. Tamże, Nr. 226. — Krochmalarstwo. Tamże, Nr. 279 i 283. — Z powodu klęski rolniczej w r. 1889/90. Kraków 1890, Nakładem N. Reformy. — O doświadczeniach nawozowych. Odb. z „Rolnika", Lwów 1891. — Instrukcja o użyciu kości na nawóz. Przemyśl 1891. — O potrzebie i środkach poprawy stosunków handlu nawozowego. Lwów 1893 (wespół ze St. Jentysem). — „Ekonomista Polski" Roczniki IV 1893 i V 1894 są redakcji P-go; artykuły jego noszą podpis: Paweł Brona. Ważniejsze: rub. Przegląd rolniczy; W sprawie reformy statystyki zbiorów; Owce, świnie i bydło rogate na wystawie kraj. — Przemówienie w sprawie „Ekonomisty" na zjeździe prawników i ekon. w Poznaniu. W Pamiętniku Zjazdu. Poznań 1894. — Podatek gruntowy i rewizja katastru. Lwów 1895. — W księdze pam. „Dublany". Lwów 1897 (jako członek Komitetu redakc.) Pawlikowski dał wykład o programach naukowych, str. 45—69 o encyklopedji, metodologji i historji teorji gosp. wiejskiego i administracji; s. 159, *curriculum vitae* Pawlikowskiego. — W Encyklopedji Macierzy Pol. Lwów 1898, 2 tomy—wszystkie artykuły ekonomiczne są pióra P-go. — Wsprawie pastwisk leśnych. Słowo Pol. 1906, Nr. 563, 565, 567.

wiązki gospodarstwa własnego na wsi. Był czynny w instytucjach samorządowych: był wiceprezem oddziału przemyskiego Tow. Gospodarczego, delegatem do kursów rolniczych przy szkołach ludowych. W latach 1893 — 4 redagował założone przez St. Szczepanowskiego czasopismo p. t. „Ekonomista Polski" [1]).

Była to, łącznie biorąc, praca bardzo ciężka. Wykłady, oparte na statystyce i samodzielnych studjach, pochłonęły wiele czasu, „Ekonomistę" z powodu braku współpracowników trzeba było samemu zapełniać. Organizm tej pracy nie wytrzymał.

Po wydaniu ostatniego zeszytu „Ekonomisty" (w związku ze słynną wystatwą powszechną we Lwowie), wyjechał na kurację do Zakopanego. Pozostawał długi czas w wydziale wykonawczym Kółek Rolniczych, był prezesem Banku Parcelacyjnego, dopóki nie opanował banku demagog Stapiński. Z wykładów zrezygnował w r. 1904.

Schodził tedy z pola agronom i ekonomista, a ludziom się zdawało, że kończy „karjerę". Tymczasem otworzyła się przed Pawlikowskim nowa droga — literatury. Którędy do niej doszedł? Literatura bywa dostępną niespodzianie twórcom z Bożej

---

[1]) Przed Pawlikowskim „Ekonomistę" redagował Witold Lewicki, przy udziale Komitetu redakcyjnego, do którego należeli: Romanowicz, Rutowski, Gostkowski, Amborski. Zamknięto pismo w r. 1895.

łaski, ale Pawlikowski wkroczył do niej jako badacz. Wiemy, że w wolnej już Polsce, w r. 1925 Akademja Umiejętności obdarzyła go godnością członka. Położył więc zasługi, a ten tytuł zdobyć można tylko wielką pracą. Pawlikowski tłumaczy zmianę pola pracy tem, że na poprzednie pole nie miał już oczu odpowiednich. Ale kto miał w ręku jego dwutomowe wydanie „Króla Ducha", ten nie łatwo da wiarę temu argumentowi. Jest to praca benedyktyńska nad tekstem tak drobiazgowa [1]), że nie da się z nią porównać, jeśli chodzi o pracę wzroku, wysiłek profesora ekonomiki. W chwili tej decyzji zresztą, jak myślę, Pawlikowski sam nie wiedział, jak daleko praca nad Słowackim go zaprowadzi. Trzeba w tem przerzuceniu się widzieć potrzebę płodozmianu dla umysłu.

O powodach porzucenia katedry i zajęcia się literaturą sam Pawlikowski tak informował mnie:

— Decydującym powodem były oczy. Ekonomika rolnictwa jest dyscypliną, w której zwykle bardzo wiele ma się do czynienia z rachunkami i ze statystyką. Na wykładach trzeba, wiele pisać na tablicy według notat, bo cyfr pamiętać nie można; źle że mam szczególną wadę pamięci co do cyfr. Pozatem nie przeczę że i inne były powody.

---

[1]) Pomagał mu w niej, jak to oznaczono na tytule dzieła, syn Michał, obecny właściciel Medyki i wydawca Bibljoteki Medyckiej.

W Dublanach coraz mniej mi się podobało — a niektóre wykłady — jak ekonomja polityczna itp. trzymane z konieczności na stopniu dość popularnym i wciąż powtarzanie tych spraw nudziło mię już mocno. Byłbym chętnie wykładał ekonomikę rolniczą, ale właśnie ona dla oczu stała mi się niedostępną. W pracy nad Królem Duchem oczyma wcale nie tak wiele robiłem jakby się to zdawało. Rękopisy czytał Michał, a co do układu i komentarza to zawdzięczam wierność ich opracowania wysiłkom pamięci, metodzie, a głównie nadludzkiej cierpliwości osób, które mi zastępowały oczy. Co do metody — przejąłem ją z techniki statystycznej; Każdą odmianę wedle zasadniczych cech wynotowałem (dyktując) na osobnej kartce i te kartki sortowało się raz wedle jednej, to znów wedle innej cechy. Trudno to czasem uwierzyć jak można zmysł brakujący zastępować w inny sposób. Z początku — po chorobie oczu — zdawało mi się że wogóle do żadnej już pracy zdolny nie będę. Ale z melancholji wydobyła mnie gwałtowna żądza życia — co w mojem rozumieniu znaczy — robienia czegoś. No i jakoś się robi, choć zapewne robiłoby się lepiej i więcej, gdyby nie ta bieda.

Żeby nie nadrywać nici biograficznej dodam informację o dalszych kolejach życia. Wojna zastała Pawlikowskiego na stanowisku prezesa stonnic-

twa. Po okupacji przez wojska rosyjskie cała myśl i troska ześrodkowała się w zagadnieniach bytu narodowego. Ciężkie to były czasy. Pawlikowski, powołany na stanowisko przewodniczącego Polskiego Komitetu Ratunkowego, przy pomocy Stanisława Grabskiego pracował nad ratowaniem polskiej linji politycznej i regulowaniem opłakanych stosunków zrujnowanej ludności polskiej. W czerwcu 1915, gdy przyszło do ewakuacji, Pawlikowski przeniósł się do Żytomierza i tam przebył lat trzy. Oddawał się tam pracy humanitarnej i oświatowej jako stały kierownik prac w Macierzy Polskiej [1]). Po powrocie do Lwowa, zrzekł się prezesury w stronnictwie. Odtąd oddał się całkowicie umiłowanym pracom.

III.

Dosyć przypatrzeć się linji życia i prac Pawlikowskiego, aby spostrzec, jak ważyły się w nim od wczesnej młodości upodobania. Jedna grupa tych dyspozycyj — to kontemplowanie przyrody jako

[1]) Z tego okresu w bibljografji Pawlikowskiego zostały takie pozycje: Zjednoczenie w dwutyg. „Zjednoczenie" Lwów 1915, Nr. 1. — Figle nie wporę, tamże Nr. 2. — Statut Koła Macierzy Polskiej na Wołyniu. Żytomierz 1917. Druk Ziemstwa. — Statut Demokr.-Chrześc. Związku polskich pracowników. Żytomierz, 1917. Druk Denemana.

danej człowiekowi wartości wiecznego piękna, a druga to służba na rzecz kultury. Pierwsze z nich szły za głosem natury, jako poetycki popęd wrodzony i w kulturze rozwijający się w potrzebę umysłową estetycznego poznawania; drugie zaś upodobania pochodziły z nakazu racjonalnego woli, zasilaanej miłością do ziemi. Ten motyw ziemi przemógł i wytworzył syntezę w apostolstwie ochrony piękna przyrody.

Ta wewnętrzna zbieżność upodobań, trzymanych siłą wypracowanej woli w równoległości, to znów doskonale harmonizowanych, ujawnia się już we wczesnej młodości.

Należałoby w tem miejscu uwydatnić wpływy dziedziczenia, środowiska i wychowania, ale tylko ogólnie mogę je sobie wyobrazić. Atmosfera domu w Medyce była wyjątkowo korzystna dla hodowli umysłu — od dzieł sztuki do cudów przyrody było tam wszystko, co daje wielka cywilizacja. Była to atmosfera twórczości i akademickiej pracy. Ważną okolicznością było to, że Jan Gwalbert od wieku chłopięcego wiele przebywał w górach. Sam przyznawał, że do decydujących w jego rozwoju momentów należało współżycie z góralami. Rodzice oddawali go na czas dłuższy pod opiekę Macieja Sieczki, słynnego w tych czasach przewodnika. Co do działalności, Pawlikowski wyznał mi,

że mało właściwości dziedziczy po ojcu, chyba najwięcej ma w sobie z matki i z dziada ojczystego Gwalberta.

— Po nich — mówił — mam wszechstronność umysłową i skombinowanie zainteresowań intelektualnych z praktycznemi. Moja matka miała szerokie zainteresowania intelektualne, a była niezmordowaną gospodynią, na wychodztwie nawet kucharką. Dziad Gwalbert był bibljofilem, miłośnikiem sztuki, gospodarzem, mianowicie z zamiłowaniem oddawał się owczarstwu i ogrodnictwu. Działał też w życiu publicznem w ówczesnym Sejmie stanowym i w Tow. Gospodarczem. Nie odziczyłem tylko manji zbierania, a ta przeszła na syna mojego Michała. Mój brat Tadeusz wdał się dziada macierzystego Dzieduszyckiego, do którego był zupełnie podobny także fizycznie.

Na Pawlikowskim widać, jak mało człowiekowi przybywa w życiu nowych skłonności; rzec można odrazu się urodził taki, jaki jest. Umysł bardzo wcześnie rozwinięty poodkrywał już na ławie uniwersyteckiej wszystkie swoje skłonności i możliwości rozwoju. Widzimy to w jego produkcji literackiej z czasów uniwersyteckich. Zaczął w r. 1879 od sprawozdań taterniczych, wkrótce ogłasza przekład Eneidy, a równocześnie, jako redaktor czasopisma akademickiego, ogłasza rozprawę politycz-

ną o Stańczykach (z powodu śmierci Szujskiego [1]). Zagadnienia społeczne i gospodarcze są wtedy przedmiotem studjów. Wszystko to są wątki, z których potem stwarza swój świat coraz rozleglejszy i głębiej w duszę sięgający.

Ciekawe są wyznania Pawlikowskiego w przedmiocie studjów uniwersyteckich. W wyborze dróg kierował się skłonnościami. Dla tego przeniósł się z filozofji na rolnictwo.

— „Po semestrze już dostałem abominacji do studjów literackich. Nic mię tu nie zainteresowało i niczego się nie spodziewałem. Przytem środowisko mię niezadowoliło. Typ „literaturnika" był mi niesympatyczny. Sprowadziły mię na ten wydział zamiłowania gimnazjalne do literatury, ale okazało się, że zamiłowania te były tylko względne, bo o niczem innem nie miałem pojęcia. — Co do stu-

[1]) Pierwsze prace literackie Pawlikowskiego: Wycieczka na Łomnicę w Pamiętniku Tow. Tatrz. 1879. — Eneidy ks. IX przekład w Przeglądzie Akadem. Kraków 1881. — W czas. „Przyszłość" (redakcja Pawlikowskiego), Kraków 1883, są jego artykuły w rubryce Głos Wolny w Nr. 2, 5, 7, 11, 12, 14, 17 — 18, artykuły wstępne w Nr. 12, 13 (Kwestja prawa), 19 (Nieco o bibule), art. wstęp. w Nr. 21 i 22, pozatem rozprawa o Stańczykach, przyczynek do dziejów i charakterystyki politycznego obozu. Kraków 1883. Nakł. druk. Związkowej, stron 56. — Sprawozdanie z czynności Wydziału Czytelni Akad. w Krakowie za r. 1883. (Za prezesury P.).

djów prawniczych to największą z nich korzyść odniosłem przez czytanie prawników rzymskich. Nigdy filozofji nie studjowałem. Egzegezy nauczyłem się od prawników rzymskich. Im też zawdzięczam (pospołu z góralszczyzną) właściwości stylu i języka. Natomiast do ekonomji politycznej, którą potem studjowałem dodatkowo w Wiedniu, a między innemi wykładałem w Dublanach — nie miałem nigdy szczególnej sympatji. Nie jestem przyrodnikiem. Niestety! A jednak studja przyrodnicze na rolnictwie — (także i prace laboratoryjne) nie tylko że miały dla mnie znaczenie metodyczne, ale i kierowały memi upodobaniami.

„Do dziś tylko z musu czytam studja literackie, — a odpoczywam przy książce przyrodniczej. To jest może dziwne. Ale pociągało mnie zawsze szczególnie zbliżanie do sibie ogniw odległych; sądzę, że ze studjów prawa i przyrody więcej nauczyłem się metody studjów literackich, niżbym się był nauczył w seminarjach polonistycznych. Nie mówię tego sposobem krytyki tych seminarjów, — stwierdzam tylko potrzeby własnej umysłowości. W wykładach dublańskich interesowałem się przedewszystkiem ekonomiką rolnictwa, bo w niej zbliżają się do siebie dwa ogniwa: społeczno-ekonomiczne i przyrodnicze".

Decydującą rolę w życiu duchowem Pawlikowskiego odegrały Tatry. Z owych zainteresowań ta-

ternickich, które były wyrazem somatycznego rozkoszowania się górami, wypływają potem studja nad stylem podhalańskim i usiłowania kulturalne ochrony Tatr, które tyle pochłaniają teraz energji dawnego taternika. Cały Pawlikowski wypowiada się obecnie w redagowanych przez siebie „Wierchach", które są dla mnie poematem jego duszy, śpiewanym na cześć gór. Oryginalność koncepcji tego wydawnictwa polega na tem, że ogniskuje w sobie wszystko, co myśl narodowa, sztuka i nauka związać może z życiem Podhala, cały nadbudowany nad Tatrami świat kultury humanistycznej [1]).

Od r. 1912, kiedy przy Tow. Tatrzańskiem powstała sekcja ochrony Tatr, Pawlikowski jest jej przewodniczącym. Za zasługi, położone dla spraw turystyki i ochrony Tatr, Tow. Tatrzańskie mianowało go w r. 1913 swoim członkiem honorowym. Owa sekcja z inicjatywy Pawlikowskiego jeszcze w r. 1913 wygotowała memorjał do zarządu głównego Tow. Tatrzańskiego w sprawie ochrony Tatr. Memorjał ten stał się podstawą akcji, która dopiero po wojnie należyty wzięła obrót.

---

[1]) Dotychczas ukazało się pięć roczników p. t. „Wierchy". Rocznik poświęcony górom i góralszczyźnie, pod red. J. G. Pawlikowskiego, Lwów I. 1923, II 1924, III 1925, IV 1926, V 1928.

Członek sekcji Ksawery Prauss, mnister w gabinecie Moraczewskiego, dał inicjatywę wydania ustawy ochrony Tatr. Zwołana potem ankieta projekt tej ustawy odrzuciła, pozostała tylko jako owoc tej inicjatywy Komisja państwowa ochrony przyrody, jako ciało doradcze ministerjum oświaty, która przystąpiła do wydawania materjałów w publikacji zeszytowej: „Ochrona przyrody". Dopiero w r. 1925 za ministerstwa St. Grabskiego wyszło rozporządzenie Rady ministrów, stwarzając organizację w postaci Rady ochrony przyrody, w której zasiada Pawlikowski, jako członek prezydjum i referent ustaw. [1]).

---

[1]) Żeby dać wyobrażenie, ile pracy poświęcił sprawie Tatr Pawlikowski, przytoczę bibljografję:

Wycieczka na Łomnicę w Pamiętniku Tow. Tatrz. 1879.— Podziemne Kościeliska. Kraków 1887. Nakładem Tow. Tatrz. — O sztuce podhalańskiej: Katalog wystawy podh. Lwów 1911 (przedmowa). — Przyszłe zadania Tow. Tatrz. w wyd. 40 lat istnienia T. T. Kraków 1913. — Przemówienie i spraw. z odczytu Tatry i Zakopane przed 40 laty w czas. „Zakopane" 1913 Nr. 18. — Tamże Nr. 19 przemówienie w sprawie kolejki na Świnnicę. — O celach i środkach ochrony przyrody w wyd. „Ochrona przyrody" I. Warsz. 1920. — To samo osobno. Zakopane 1920. — O udziale Pawlikowskiego w naradach Państw. Kom. Ochrony w wyd. „Ochrona Przyrody" II 1921. — Problemy prawne ochrony przyrody w Przeglądzie prawa i adm. 1921. — Społeczne organizacje ochrony przyrody (i referat o ochronie prz. zagranicą) w wyd.: „Ochrona Przyrody" III 1922. — Tatry

Widzimy więc, że idea piękna przyrody górskiej miała w Pawlikowskim nietylko spożywcę, którym jest wobec gór turysta czy artysta; Pawlikowski uczynił z niej czynnik wychowawczy, czem uzupełnił Chałubińskiego, a nawet instytucję narodową, oddaną pod opiekę państwa. Idea zamieniła się w czyn, w czem wielką rolę odgrywa uczucie patrjotyczne w połączeniu z poczuciem gospodarza kraju. Pawlikowski widzi w Tatrach nie tylko przyrodę, ale urodę Polski, cechującą jej indywidualność. To trzeba było wskazać, jako rys organizacji psychicznej Pawlikowskiego, że w nim życie wątków duchowych nie jest luźne, lecz że wszystkie łączą się organicznie i podporządkowują woli twórczej.

jako park narodowy. Słowo Pol. 1922 Nr. 294. — W sprawie ochrony kozic, Reorganizacja muzeum Tatrzańskiego, Reforma administracji uzdrowiskowej i regulacja Zakopanego — wszystko w „Wierchach" I 1923. — Ochrona przyrody zagranicą w wyd. „Ochrona przyrody" IV, 1924. — Wspomnienie o Wojciechu Roju. „Wierchy" II. 1924. — Ochrona przyrody, Turystyka w „Wierchach" III. 1925. — O prawie ochrony przyrody w wyd. „Ochrona Przyrody" VI 1926. — Współczesne prądy w alpinizmie niemieckim „Wierchy" VI 1926. — O krzyż na Giewoncie. Słowo Pol. 1926 Nr. 319. — Tatry i Yellowstone-Park w czas. „Giewont" 1926 Nr. 2. — Prawo ochrony przyrody. Kraków 1927. Nakł. Państw. Rady O. P. str. 121. — Słowo o międzynarodowej ochronie przyrody i jej tendencjach rozwojowych. W wyd. „Ochrona Przyrody" VII. 1928.

Każdą indywidualność poznaje się z jej właściwości osobistej i z tego, co w niej jest z wymiany ze środowiskiem. Nadmieniłem już, że Pawlikowski wśród ludzi trzyma się osobno, z rozlewności towarzyskiej cnoty nie robi, właśnie może dlatego, że znalazł od młodości drogę poszerzania swego środowiska duchowego na współżycie z przyrodą. Tutaj nawet jest wylewny, w każdym razie uczucie staje w tej linji w pozycji czynnej: jest rycerzem przyrody w zbroi kultury i wiedzy, obrońcą jej skarbów. Przytoczę tutaj fakt, który się zdarzył w czasach mego obcowania z Pawlikowskim w r. 1910. Daje mi ten fakt możność zestawienia go z Żeromskim.

W grudniu 1909 r. Żeromski i towarzysze, dobrawszy podpisy przyjaciół, ogłosili odezwę, wzywającą społeczeństwo do sprowadzenia prochów Słowackiego i ulokowania ich w ścianie Kościelca nad Czarnym Stawem. Trzeba było widzieć jak głęboko ten pomysł poruszył Jana Pawlikowskiego swoją naiwnością makabryczną. Właśnie był w przygotowaniu rocznik „Lamusa" na r. 1910 i Pawlikowski zamieścił tam artykuł „O prochy Słowackiego", niemiłosiernie ośmieszający ten projekt. Oczywiście Pawlikowski, czciciel Słowackiego, nie żałował mu Tatr i o tem obrońcy projektu wiedzieli, ale też tem trudniejsze było ich położenie. Pawlikowski zląkł się o Słowackiego: co ludzie

bez kultury chcą ze snobizmu z nim wyrabiać. Oburzyło się w nim głębokie poczucie stylu rzeczy tworzonych przez człowieka, że te nie mogą wyręczać się dziwami przyrody, które swą wielkość zawdzięczają temu, że nie są podrabiane przez człowieka. Żeromski ugodził w czuły punkt przeświadczeń człowieka kulturalnego nieprzemyśleniem tego projektu. Tem się tłumaczy podniecenie satyryczne Pawlikowskiego, który rzadko polemizował, i zakończenie artykułu ostatecznym argumentem, że autor projektu zasługuje, aby mu wsypano 25 kijów w owym Barbakanie krakowskim, skąd według niego Słowacki miałby powędrować w Tatry. Trzeba dodać, że Pawlikowski nie wiedział, pisząc to, że autorem projektu makabrycznego procesji z Paryża z prochami, był Żeromski. Byłby mu tego drastycznego zakończenia zaoszczędził. Żeromski nie rozumiał dobrze powodów oburzenia i w ogłoszonym liście z Paryża (w maju 1910) tak sobie rzecz tłumaczy: „Szczodry magnat! Prawo bicia kijem na własnem podwórzu wydarte zostało z ręki przez obce prawo, ale pozostał przecie w duszy pierwszy odruch uczucia, pierwszy pęd myśli i pierwszy argument logiki: dwadzieścia pięć kijów"! [1]).

---

[1]) Oba te pisma: projekt i list ogłosił W. Borowy w zbiorze Żeromskiego „Elegje". Warsz. 1928, od s. 250.

To krótkie spięcie nie miało w sobie oczywiście śladu „walki klas", lecz poprostu wynikło z awersji człowieka kulturalnego do malowniczości gestów nieprzemyślanych. Owszem Pawlikowski miał wówczas wiele sympatji dla Żeromskiego. Pierwsza charakterystyka Żeromskiego pojawiła się w „Wiedzy i życiu" pod redakcją Pawlikowskiego, jako rozprawa z konkursu Związku Naukowo-Literackiego, w którym Pawlikowski był sędzią [1]). Kto był gruntowniejszym demokratą z obu pisarzy, o tem dałoby się wiele powiedzieć. Różnica między nimi, jak się okazało w tem zdarzeniu ze Słowackim, wynikała stąd, że stosunek zasadniczych elementów w człowieku: natury i kultury był w nich odwrotny. Żeromski dawał się ponosić motywom uczuciowym, nie umiejąc ich kiełznać intelektem, a dolą jego w środowisku radykalnem było ciągle projektować nowe dla społeczeństwa rzeczy. Miłość dla przyrody miał wielką, ale już nie stać go było na wyobraźnię choćby techniczną, jak na skale niedosiężnej wyglądać będzie krata żelazna ukrytego w jaskini grobowca. Tego typu pomysłem był krzyż na Giewoncie. Pawlikowski taternik mógłby to Żeromskiemu wytłumaczyć zawczasu i byliby do śmierci przyjaciółmi, zgodnymi na punkcie ochrony przyrody od niewczesnych pomysłów.

[1]) Mowa o pracy Tadeusza Gałeckiego.

Popularne od czasów Chałubińskiego Tatry ze swoją bramą wpadową Zakopanem, wystawione są na profanowanie i szpecenie ze strony „ludzi dólskich", zwanych inaczej „ceprami", którzy masami przybywają, aby tutaj dopiero ujawnić, co to jest barbarzyństwo w szatach kultury bez stylu. Matlakowski i Witkiewicz ocalili źródła artystyczne rodzimej sztuki pohalańskiej, tworząc styl na potrzeby budownictwa wybrednego dla „ceprów". Pawlikowski stał się apostołem czystości tego stylu i nietykalności przyrody, która z siebie wydała to piękne życie podhalańskie. Nikt inny nie rozumiał tak głęboko jak on potrzeby rozgraniczenia światów: przyrody i sztuki. A ta granica u niego nie pokrywa się całkowicie z granicą przyrody dla człowieka zewnętrznej. Ma o tej granicy coś do powiedzenia nie tylko przyrodnik, ale i etnolog i artysta. Pawlikowski włącza do przyrody i samorodną twórczość ludową. Owa twórczość ma dla niego charakter geologiczny, jest przyrodzona i jako taka stanowi źródło żywe dla sztuki, opartej na świadomości artystycznej. W pewnem miejscu wypowiada Pawlikowski pogląd: „Żywa sztuka powstaje jednak tylko na gruncie przez Boga sprawionym" [1]).

---

[1]) Przedmowa do katalogu Wystawy podhalańskiej we Lwowie 1911 r., str. 1.

Do tych poglądów na przyrodę, styl i kulturę przejdziemy teraz; tutaj tylko dodam słówko dla wyjaśnienia mojej własnej metody, z jaką rozpatruję każdego człowieka twórczego, — że to rozgraniczenie obowiązuje nie tylko w stosunku do ludu, jako twórcy rzeczy estetycznych. W każdym z osobna człowieku jest taki pokład „geologiczny", z którego bije źródło żywej sztuki. Każdy nosi w sobie taką psycho-fizyczną przyrodę, zaczajoną u progu jego intelektu twórczego, na granicy właśnie między jego przyrodą a kulturą.

Siłą właśnie twórczości Pawlikowskiego jest to, że dotarłszy świadomością do spodów duszy, żywo odczuwa, iż ta granica nie leży poza nim, lecz przechodzi przez niego, a sprawa uregulowania jej jest walką o najwyższe dobra kulturalne.

IV.

Wśród literackich pism Pawlikowskiego pewną osobną całość tworzy grupa rozpraw, dotyczących kultury czucia estetycznego [1]). Do tej grupy na-

[1]) Zaliczam do tej grupy z zakresu estetyki i socjologji sztuki następujące prace: O sposobie przedstawiania barw. Słowo Polskie 1905, Nr. 18 (sprawozdanie z odczytu). — O słowie jako elemencie sztuki poetyckiej (odczyt).—O czci poetów, „Lamus" I 1909, s. 61.—O prochy Słowackiego „La-

leżą również zainteresowania w sprawie ochrony przyrody.

Tylko głęboka potrzeba życia estetycznego mogła wytworzyć tę pozorną sprzeczność, że człowiek, poświęcający tyle wysiłku umysłowego i propagandowego sprawie kultury ziemi, bezpośrednio potem staje się obrońcą nietykalności przyrody i dąży do zachowania przynajmniej celniejszych pomników krajobrazu. W autorze rozprawy „Kultura i natura", będącej wspaniałym pomnikiem prozy, jest coś Rousseau'a i Ruskina, raczej drugiego.

Pawlikowski nie propaguje ucieczki od kultury wstecz, jak Rousseau; jego droga wiedzie przez kulturę do natury. To jest jego zasada rozwoju. Idea ratowania pejzażu naturalnego jest marzeniem i postulatem jego jako poety i estety. Pawlikowski w broszurze swojej wiele pięknych kart poświęca uzasadnieniu potrzeby ochrony przyrody argumentami z dziedziny wychowania, wiedzy i uczucia narodowego, w które wierzy

---

mus" 1910, s. 49. — O sztuce podhalańskiej w katalogu wystawy podh. Lwów 1911, wstęp 20 stron. — Styl jako zjawisko społeczne, „Lamus" 1911 — 12, s. 66. — Kultura a natura „Lamus" IV i osobno Lwów 1913. Nakładem Sekcji Ochrony Tatr, Tow. Tatrz. — Kultura a swojszczyzna (sprawozd. z odczytu) Słowo Polskie 1925, Nr. 67. — O uczczenie pamięci Asnyka, Słowo Polskie 1927, Nr. 106.

i które są słuszne; ale nietrudno spostrzec, że bodźcem afektowym myślenia w tym kierunku są potrzeby poetyckie jego duszy. Powiem więcej — te same potrzeby, które skierowały jego namiętność poznawczą na szczyty wzlotów poetyckich Słowackiego.

Pawlikowski nie przyznaje się nigdy do tych potrzeb, a jednak wszystkie uzasadnienia miłości ku przyrodzie w stanie naturalnym pejzażu dadzą się zamienić, a to jedno zostanie zawsze prawdą, że kontakt z przyrodą niezbędny jest do życia człowiekowi dlatego, iż w niej posiada on cząstkę swojej duszy. Pawlikowski w jednem miejscu nie bez akcentu dramatycznego wypowiada krótko argument najważniejszy, uczuciowej natury: „Człowiek, odkąd pojawił się na ziemi, począł „ujarzmiać" przyrodę. Aż wreszcie ujarzmił ją tak gruntownie, że poczynają mu włosy stawać z przerażenia, aby w pustce przestrzeni nie został sam na sam — z trupem" [1]). Powiedział te słowa nie ten, który tę przyrodę sam ujarzmiał i uczył ujarzmiać, lecz poeta.

Najkulturalniejszy zdobywca przyrody ujarzmia ją w ten sposób, że między nią a człowieka wprowadza nowy świat, choćby najpiękniejszy, ale biorący początek z wytworu ludzkiego, świat cywi-

[1]) Kultura a natura, s. 20.

lizacji. Jeden tylko poeta nie chce być tak odcięty, bo jego siła tkwi w bezpośredniem połączeniu z tą przyrodą, której równoważnik w stanie surowym leży w nim samym, jako reprezentancie przyrody, mianowicie w jego krwi, w instynktach, w owem „zapomnianem" Abramowskiego, będącem sprawcą wzruszeń estetycznych i mistycznych.

Te wzruszenia — mówi Abramowski — „są to stany, gdzie uczucie kryje jakąś rzecz określoną, której myśl poszukuje usilnie, a nie może odnaleźć, która usiłuje znaleźć swoje wyobrażenia całkowite i pełne, a odnajduje tylko symbole... Jest to czucie rodzajowe zapomnianego" [1]).

Jeżeli świadomość zgubiła gdzieś tę „rzecz" z pamięci, to jedynie w przyrodzie, skąd człowiek drogę swoją wywiódł. Nie odnajdzie jej na polach równo uprawnych i wydrenowanych, na drogach szosowych, wśród szpaleru strzyżonych drzew; odciąć go na zawsze od pierwotnej natury pamiątkowej, znaczącej się dzikim krajobrazem— to śmierć dla tęsknoty, która szuka zapomnianego i jedynie w naturze może odnaleźć symbol. To właśnie w czasach odrodzenia liryki za romantyz-

---

[1]) Abramowski Edward: Czucie rodzajowe jako pierwiastek estętyki i mistycyzmu. „Przegląd Filoz." XIV (1911), s. 178.

mu było przyczyną umiłowania przyrody i to działać będzie zawsze, dopokąd istnieć będą indywidualności, mające potrzebę pełnego wypowiedzenia się. Wszystko można zdobyć świadomością intelektualną, wiele zadowolić swoich potrzeb duchowych w nauce opanowania przyrody, w wynalazkach, wykładach, studjach nad cudzą twórczością, ale jednej rzeczy poznanie nie sprosta — odszukaniu „zapomnianego". Tutaj, choćby się kto tego wstydził, jeśli ta potrzeba go nurtuje, musi być poetą.

Bardzo charakterystyczny dla Pawlikowskiego jest sposób, w jaki uzasadnia potrzebę powrotu do natury w duszy człowieka kulturalnego. „Człowiek różnemi drogami powraca tam, skąd wyszedł — pragnie odzyskać to, co utracił. A jeśli sam odbił się od macierzy za daleko, przyprowadza jej przynajmniej napowrót swe dzieci". Tak motywuje Pawlikowski potrzebę wykształcenia przyrodniczego, które ducha odradza. Tutaj będziemy mogli sobie wyjaśnić, ile pełni duchowej Pawlikowski wkładał w system myślenia i poznawania.

„Słyszy się często zdanie — pisze Pawlikowski— że gdy zaczyna się myśleć, to przestaje się czuć... Ale wrażenia natury poznawczej mają swoją własną uczuciową barwę; uczuciowe zabarwienie nie jest bynajmniej przywilejem wyłącznym wrażeń

estetycznych. P o z n a n i e d a j e z a d o w o l e n i e, które może wznieść się do uczucia żywej radości... Kiedy z wyniosłego punktu spoglądamy na rozległą przestrzeń, doznajemy nieokreślonego uczucia niemego zachwytu, który zbliżony jest najwięcej do ekstazy religijnej. Myśl drzemie, a dusza skupiona w oczach zdaje się bujać w przestrzeni i doznawać jakby fizycznej błogości tego lotu. Ale intensywność tego uczucia, tak jak każdego innego, słabnie w miarę trwania. Myśl zaczyna powracać do samowiedzy, uwaga czepia się pewnych punktów przestrzeni. Już tutaj występują pewne tendencje poznawcze" [1]).

Tu następuje bardzo piękny wykład o miłowaniu tego, co nazwane przez nas i odpoznane. „Odpoznanie ma samo przez się wysoką wartość uczuciową". Na tym fakcie opiera Pawlikowski miłość ziemi rodzimej i patrjotyzm. Rozwojem wiedzy o przyrodzie tłumaczy nowożytny nawrót do przyrody. „Drogą okrężną, p r z e z n a u k ę i w wyższej, doskonalszej formie powraca tutaj ten sam czynnik, który człowieka piewotnego tak silnie z przyrodą zespalał, to jest — p o d p a t r y w a n i e t a j n i k ó w j e j ż y c i a... Kultura oddaliła człowieka od przyrody, ale dziś — być może—wiedzie go ku niej napowrót i n n ą d r o -

[1]) Kultura a natura, s. 14 i n.

gą i z wygnańca a niekiedy pasorzyta, uczyni może znowu prawym obywatelem jej trójjedynego królestwa"[1]).

Wykład Pawlikowskiego jest bardzo charakterystyczny dla niego i epoki, w której był wychowany. W psychologji wzruszenia, doznawanego przez obcowanie z przyrodą, wyznacza decydującą rolę poznawaniu. I człowiek pierwotny i uczony zarówno „podpatrują" przyrodę — dla tego ją kochają, że znają jej tajniki. Radość poznawania wytwarza uczuciowy do przyrody stosunek. Stąd prosty wniosek, że im lepiej naukowo poznajemy przyrodę, tem więcej ją kochamy. Tem się tłumaczy nawrót do przyrody naszych czasów oświeconych. Podobnie wykładał Comte, że samo wyświetlenie w umysłach natury stosunków społecznych rozwiąże trudności życia przez wzmożenie pierwiastka uczuciowego. Poglądowi temu fakty przeciwstawiają inny, że o patrjotyzmie rozstrzyga jakiś moment irracjonalny bez odwoływania się do uzasadnień.

Przedewszystkiem sam Pawlikowski, głoszący powrót do przyrody, nie jest przyrodnikiem. Sposób, w jaki „podpatruje" przyrodę, jest różny niż u górala surowego, ale bynajmniej nie w stosunku prostym do wiedzy naukowej o przyrodzie.

---

[1]) Tamże, s. 18.

Stosunek prosty zachodzi raczej do stopnia jego kultury h u m a n i s t y c z n e j. Decyduje o tym stosunku uczuciowym do przyrody zbliżenie poznawcze nie do przyrody zewnętrznej wprost, lecz zbliżenie do — wnętrza własnej przyrody, podświadomie w podłożu aktualności psychicznych spoczywającej i, w miarę pogłębiania się życia duchowego w człowieku kulturalnym, coraz natarczywiej z m y s ł o w o domagającej się uzewnętrznienia. Jest to właśnie pierwiastek poetycki, mający samodzielne w życiu duchowem znaczenie.

Pawlikowski negując psychologicznie ten fakt, odgrywający wielką rolę w jego życiu duchowem własnem, ukrywa swoją poetyckość jako słabość. Tymczasem gdzie jak gdzie, ale tutaj *naturalia non sunt turpia.* Kogo stać na to naturalne bogactwo ducha, ten jest bogatszy we wszystkich dziedzinach myśli i działania, bo ten pierwiastek jest bodźcem afektowym wielu innych procesów duchowych. W bezpośredniem zaś zetknięciu ze światem przez zmysły pierwiastek ten jest organem specjalnego p o z n a n i a e s t e t y c z n e g o, które może oddziałać na ożywienie poznania naukowego, ale odwrotnie poznanie naukowe estetycznego sposobu poznania nie wywoła. To nieporozumienie wypływa z poglądu pozytywistycznego, że poznanie jest wyłączną podwaliną życia duchowego. Prowadzi on i do dalszych nie-

porozumień, że człowiek kulturalny zapiera się siebie, swoich uczuć, nie tylko talentu poetyckiego, aby go nie pomówiono, że jest romantykiem, wierzącym w istnienie *animae abdominalis*.

Wracam jednak do Pawlikowskiego. W rozprawie, o której teraz będzie mowa, p. t. „Styl jako zjawisko społeczne" [1]) Pawlikowski wygłasza jeden z zasadniczych swoich poglądów filozoficznych: „Jest to pospolitym a ciężkim błędem mniemać, że wszelkie konflikty i sprzeczności muszą być kiedyś jakoś rozwiązane. Tymczasem są sprzeczności, które są poprostu pewną formą bytu. Zniesienie ich jest śmiercią". W umyśle Pawlikowskiego nigdy zagadnienie to nie zarysowało się alternatywnie jako zagadnienie wyboru: kultura czy natura? Losem człowieka jest kultura, przenoszenie się ze świata przyrody do świata duchowego, gdzie wszystko jest wytworem ludzkim z człowiekiem samym włącznie. Kultura jest procesem i stanem społecznym, i jakkolwiek urastałaby przez nią w potęgę indywidualność jednostki, to jednak — jeśli ta kultura jest zupełna i uwrażliwia człowieka do głębi — jednostka prędzej czy później spostrzega, że droga, którą przebyła, oddalając się od swego stanu naturalnego, coraz się zwęża i zaciera — maluczko, a zostanie

[1]) Lwów 1912. Odbitka z „Lamusa".

odcięta od swych źródeł. A przecież im zawdzięcza ona poczucie swego ja, tam jedynie mogłaby zupełnie być sobą, gdy gdzieindziej jest wytworem i cudzą własnością. Człowiek kultury dopiero zaczyna kochać przyrodę świadomie i szukać bezpośredniej z nią styczności. Tej tęsknocie, nieraz dramatycznej, bo z konfliktu wynikającej, zawdzięcza rozwój sztuka. Ona reguluje życie człowieka kulturalnego, doprowadzając je do równowagi; nie rozwiązuje sprzeczności, ale godzi człowieka z tą formą bytu, która jest jego losem. Równowagę więc swoją człowiek zawdzięcza owemu rezerwatowi przyrody, jaki się w nim zachował w postaci zmysłu estetycznego.

Sztuka ze wszystkich dziedzin twórczości kulturalnej jest najbardziej osobistą, bo tam znajduje człowiek ujście poufne dla swej jaźni, niemniej jest także, jako dzieło kultury, funkcją społeczną i należy do cywilizacji. A wszystko co należy do obrotu cywilizacji ma swój styl, jako modłę. A więc „styl jako zjawisko społeczne".

„Dlaczego — zapytuje Pawlikowski — w pewnem miejscu i czasie pewien sposób artystycznego tworzenia staje się obyczajowym? I oto sedno rzeczy: styl — to obyczaj; określić go możemy jako obyczajową formę sztuki. Jest on zjawiskiem społecznem. Badanie jego najgłębszej istoty należy nie tyle do historyka sztuki, ile do socjologa.

„Obyczaj ten jest tradycją i normą, jest węzłem, łączącym ze sobą członków pewnej grupy ludzkiej i węzłem łączącym pokolenia żyjące z umarłemi. Pod jego wpływem gromada staje się ze zbiorowiska organizmem, nabywa cech psychicznych organizmu, pamięć, charakter.

„Dzikie, bezplanowe, wielokrotne krzyżowanie dawało zawsze pokurcza, podobne sobie znowu pokurcza płodzące, póki nie odrodziła się znowu przez stałe działanie krew jednolita, jedyne źródło harmonji, trwałości formy i przymiotów charakteru, stylu. Po epoce izolowanych społeczeństw dawnych wieków nastała era kosmopolitycznego liberalizmu i komunikacji, era bezplanowego krzyżowania form i idej w obyczajowości i sztuce, era kultury bez charakteru i stylu. Odradzający się nacjonalizm ma zadanie nie przez powrót do dawnych form przeżytych, ale w formach nowych na spiralnej linji postępu powrócić kulturze styl i charakter.

„Obyczajowa forma sztuki jest najlepszą rękojmią wartości artystycznej wytworu. Można powiedzieć, że ta właśnie stylowa norma jest w tych wypadkach s z k i c u j ą c y m p r o j e k t a r t y s t ą...

„Dzieła sztuki indywidualnej są to jakby obrazy lub rzeźby ustawione w muzeum; każda z nich

istnieje tylko dla siebie. Styl, obyczajowa forma sztuki tkwi w otoczeniu, dopełnia je i harmonizuje. A te pierwiastki harmonji jak z jednej strony równają i ujednostajniają, tak z drugiej znowu są źródłem wyodrębnienia. Przez nadanie fizjognomji właściwej wyodrębniają one okolice, plemiona, narody, jak język, jak obyczaj. Stają się węzłem społecznym, stają się rysem twarzy zbiorowego człowieka, jednym z pierwiastków, organizujących grupę społeczną w indywiduum. Ta zaś twarz właściwa jest tem, co nazywamy kulturą.

„Wybitna indywidualność — to w gruncie rzeczy jednostka ogniskująca w sobie w szczególnie szczęśliwy sposób charakterystyczne cechy gatunku, który ją wydał, to człowiek rasowy... Indywidualność jest emanacją cech gatunkowych. Im bardziej zindywidualizowany jest gatunek, im więcej posiada własnego stylu, tem lepsze stanowi podłoże dla wydania z siebie takiej indywidualności. Rasy nieustalone wydają niespodzianki, ale te niespodzianki będą to najczęściej dziwolągi, a nie dziwowiska natury. Jednostki idealnie sharmonizowane wychodzą z ras ustalonych. Cechą zaś psychiczną takiej rasy jest skonsolidowany charakter, stylowość ich form obyczajowych... Twórczość stylowa, ten owoc zbiorowego ducha rasy, wydaje nasienie twórczego indywidualizmu".

I oto widzimy wspaniałe rozwiązanie powrotu do siebie po przez kulturę ze stanowiska ogólnej teorji rozwoju. Przez kulturę, przez styl — do natury! Oto hasło Pawlikowskiego.

V.

Dopiero przez związanie tych dwu rozpraw o naturze i o stylu wyrozumieć można stanowisko Pawlikowskiego, godne najpiękniejszych czasów humanizmu. Widzi on człowieka w dwu planach, które są jego losem: przyrody i stylu. Ta dwoistość nie jest sprzecznością, którąby można rozwiązać przez wybór, lecz formą bytu człowieka, powołanego do wytwarzania nad przyrodą, ale w stałem z nią porozumieniu, nowego świata czysto ludzkiego, budowanego w drodze kultury a w pewnym stylu. Świat humanistyczny w szerokiem znaczeniu, świat cywilizacji, nie jest światem tworzonym przeciw naturze, a różność jego stąd pochodzi, że zbudowany jest na prawach ducha i duchem przenikniony. Jeżeli gdzie może się dziać dramat z powodu tego rozdwojenia światów — to w duszy jednostki, która w sobie — jako reprezentantka i kultury i przyrody — te światy jednoczy i przepuszcza przez siebie, jak ciemnia optyczna przepuszcza promienie.

Jest to dramat poetów, właściwy zresztą wszystkim naturom bogatszym, ale stanowiący jedną z tych goryczy, która życiu dodaje woni i rumieńca. Bo jest w niej żar, jest podnieta. Ona upaja w tworzeniu kultury, że z życia chciałoby się uczynić poemat.

Kapitalne swoje dzieło literackie [1]) „Mistyka

---

[1]) Dla informacji przytoczę prace literackie Pawlikowskiego: Darwinizm w poezji — Tyg. Ilustr. 1889, nr. nr. 220 — 224. — Ze studjów nad Królem Duchem: Popiel. Słowo Polskie 1904, nr. 68. — Sen anheliczny Mieczysława. Pamiętnik Liter. 1906. — Źródła i pokrewieństwa towianizmu i mistyki Słowackiego. Pam. Liter. 1908, VI 447 i VII 90.

Mistyka Słowackiego. Lwów 1909. H. Altenberg, s. 548. Słowacki w okresie mistycyzmu. „Lamus" I Lwów 1909, s. 61. — O układzie dyalogów genezyjskich. Pamiętnik Liter. 1921, s. 64. — O dyalogach genezyjskich Słowackiego. Spraw. Tow. Nauk. we Lwowie I 1921, s. 76. — Z genezy kompozycji Króla Ducha (Beniowski), Spraw. Tow. Nauk. we Lwowie II, 1922, s. 3. — O nowem wydaniu Króla Ducha. Tamże III, 1922, s. 97.

Słowacki. Król Duch. Wydanie zupełne, komentarzami opatrzył J. Gw. P. Tom I (tekst) s. 608, t. II (komentarz) s. 500. Lwów 1925. H. Altenberg.

Janowi Kasprowiczowi na pożegnanie. Wierchy IV 1926, s. 1. — Święto matek. Myśl Narodowa 1927, nr. 15. — Plagiat makbetowy. Kur. Pozn. 1927, nr. 284. — Chronologja pism genezyjskich i rozwój genezyjskich pomysłów Słowackiego. Pamiętnik Liter. 1927, s. 265 — 290. — Na marginesie pism genezyjskich Słowackiego I. Zawartość przyrodnicza Genezis z Ducha. Pam. Liter. Lwów 1928.

Słowackiego" Pawlikowski wydał w r. 1909. Weszły do niego między innemi odczyty, wygłoszone w Związku Naukowo-Literackim w latach 1904 — 1907. Rzecz charakterystyczna, że w owych latach, kiedy Pawlikowski porzucał potrochu pracę nad ekonomją i agronomją, energja jego umysłowa kierowała się na zakopiańszczyznę i na Słowackiego. Myśl jego, zanim dotarła do późniejszego przedmiotu opieki nad samą przyrodą gór, poprzednio zatrzymała się na tworze kultury ludu górskiego. W Związku Naukowo Literackim toczyły się na temat stylu zakopiańskiego długie debaty. Pawlikowski „powracał do natury" przez sztukę, ta bowiem ma w naturze człowieka najbliższy kontakt z przyrodą. Ten związek głęboki do którego Pawlikowski sam przed sobą się nie przyznawał, między jego uczuciowością poetycką a żądzą poznawczą, miał swój wykładnik w życiu młodzieńca, który z zapałem oddawał się taternictwu i wrażenia swoje, jako student uniwersytetu krakowskiego, ogłaszał. Już wtedy interesował się poznawczo poezją, czego dowodem artykuł o „Darwinizmie w poezji" (1889), kiedy swoją własną poezję wykonywał całym organizmem.

Natury poetyckie realizują poezję w górach w rozmaity sposób. Góry porywają ludzi tłumnie ku sobie, na to, by im mimowiednie nieraz hołd składali; z tła tych wzruszeń, somatycznego prze-

dewszystkiem pochodzenia, wyrywa się poryw talentów muzycznych, plastycznych i literackich. Do poetyckich hołdowników Tatr należy Pawlikowski. Natura i kultura wzięły go w dwa obroty. Duch wielkich ambicyj intelektualnych, ogarniający w czasach pozytywizmu młode umysły, opanował Pawlikowskiego tem łatwiej, że z urodzenia i środowiska należał do elity kulturalnej społeczeństwa, a z ojca spływał na niego obowiązek chorążowania hasłom rozumu i postępu. Stylem osobistym Pawlikowskiego stała się postawa poznawania wszystkiego przez ujęcie intelektualne. Ale ja to nazwę tylko stylem, drugą naturą Pawlikowskiego, która tylko pokryła rozbudzoną od młodości w górach właściwą naturę poetycką, gdzie był sobą ze swojej istoty osobistej.

I tu nastąpiło ciekawe zjawisko psychologiczne— jakie połączenie znalazły dla siebie te dwie natury: przyrodzona i stylowa. Pawlikowski uczynił z poezji p r z e d m i o t p o z n a w a n i a. Ciekawość gór, poruszona wrażeniem, jakie czynią, przeradza się w żądzę taternictwa, którą się nazywa żądzą p o z n a w a n i a gór; Pawlikowski swoją własną poetyckość wtopił w żądzę poznawania szczytów poetyckich. Taką Łomnicą był dla niego Słowacki, który sprawia w czytaniu takie sensacje duchowe, jak zdobywanie bezpośrednie szczytów górskich. Pawlikowski, wczytując

się w niego, badał prądy wichrów, na których waży się orzeł. Dzieło jego o mistyce Słowackiego jest owocem taternictwa duchowego.

Dzieło „Mistyka Słowackiego" budzi podziw śmiałością wypraw nad zawrotne przepaści metafizyczne i łatwością, z jaką autor szczyty poetyckie zdobywa. Jest w tem dziele chłód objektywizmu badawczego i przejrzystość górskiego powietrza. Niemniej zdajemy sobie sprawę czytając, że tylko wielkie zamiłowanie mogło sprawić tę rzeźkość, z jaką badacz dotrzymuje kroku wędrówkom Słowackiego. W przedmowie Pawlikowski czyni wyznanie, że książka jego jest „skromną spłatą długu, zaciągniętego wobec ducha poety, którego wielkiemu dziełu zawdzięcza tyle niezapomnianych wzruszeń". A kończy przedmowę słowami: „Innemu i droższemu dla mnie jeszcze obowiązkowi czynię zadość, kładąc na pierwszej karcie tej książki imiona Tych (książka dedykowana Rodzicom — prz. a.), których miłości i pierwszym ongi podszeptom zawdzięczam organ poznania i podziwu — oczy światła ciekawe" [1]). Z daty pod przedmową widzimy, że pisał te słowa w Zakopanem w swoim słynnym domu stylowym (przez S. Witkiewicza skomponowanym) „Pod jedlami", ma-

[1]) „Mistyka Słowackiego", 1909, s. VIII.

jąc przez okno czarodziejski widok na szczyty Tatr z Giewontem na przedzie.

Na cały czas czytania dzieła Pawlikowski zginął nam z oczu w tematach, dopiero w zakończeniu, rozprawiając się z krytykami, którzy mu przypisują skłonności do mistycyzmu, tyle powiada o sobie:

„Za uprawniony uważam tylko jeden sposób myślenia, ten, który opiera się na trafnem spostrzeganiu i logicznem, a kontrolowanem przez doświadczenie rozumowaniu. Mistyka takim sposobem myślenia nie jest. W badaniu mojem jednak nigdzie nie odnosiłem się do niej ze względu na jej zdolność metodyczno-poznawczą. Rozpatrywałem ją w pewnym poszczególnym celu: w celu objaśnienia z niej p o e t y c k i c h utworów. Jeśli można zatem mówić o wartościowaniu, to tylko o wartościowaniu poetyckiem, a to jest zaprawdę według mego rzeczy widzenia zgoła różnem. Ale zresztą sąd jakikolwiek leżał wogóle poza sferą moich założeń. Hasłem mojem było: z r o z u m i e ć, a b y u ż y w a ć".[2])

Mamy oto w tem wyznaniu stwierdzenie bodźca, o którym wyżej mówiłem. Pawlikowski przebija się przez gąszcze, zdobywa niedostępne dla innych punkty widzenia, aby się rozkoszować

---

[1]) Tamże, s. 545. Podkreślenia są moje.

poetyckiemi widokami, jakie odsłania Słowacki. Jest to chyba najbardziej wyrafinowany sposób używania intelektualnego, na które może sobie pozwolić, bez doznawania mistycznego zawrotu głowy, tylko rasowy esteta.

Ostatnie zaś słowo książki brzmi tak:

„Poznaliśmy prądy wiatrów, na których waży się orzeł... Część drugą poświęcić pragnę śledzeniu jego lotu na słonecznych wyżynach jednego z największych poematów świata". Mowa o „Królu Duchu".

Jak widzimy z tych słów, poznanie Pawlikowskiego kieruje się nie do prawd, które Słowacki uważa za odkryte przez siebie, lecz do dróg, któremi poeta do tych prawd dochodził — do jego lotu; tak samo, jak Tatrami interesuje się on nie dla celów geologicznych, petrograficznych, czy meteorologicznych, lecz że go pociągają orłowe nad niemi loty. A sekretem tych jego zainteresowań, wogóle jego złożoności psychicznej jest utajona w nim poezja. Kiedy w suchej pozornie przedmowie do katalogu wystawy podhalańskiej mówi o stylu sztuki góralskiej, wyczuwamy w nim poetę, który poza ciesielkę i snycerstwo łyżników, wybiega duchem w góry, i które mu ta sztuka przypomina. „Całe Podhale w rzeźbie swojej powierzchni, w kolorycie roślinności i skał, w postaci i charakterze swego ludu, w woni na-

wet swego powietrza tak właściwy sobie mające wyraz, odrębne właściwości zachowuje także w budynkach i sprzęcie. Kto ma oczy otwarte dla objęcia wielkich harmonji, a nie zdolne tylko widzieć na odległość ścian własnej zadusznej izby, ten w takich właśnie nastrojach urabiających niby siły geologiczne lico ziemi — w stylu, ujrzy najwyższy objaw sztuki" [1]).

I tutaj, jak w pracy o Słowackim, jesteśmy na pograniczu estetyki i poezji.

Pawlikowski przerobił świadomością intelektualną bardzo głęboko swoje życie psychiczne, a dotarłszy przez estetykę do tej swojej kryjówki, gdzie zmysł twórczy czeka swego wyzwolenia musiał temu zmysłowi pofolgować. Poufnie sam dla siebie począł znowu tworzyć, wskrzeszając w sobie zamiłowanie poetyckie z lat młodości (1874—1882). Tai się z tą słabością swoją, uważając ją za sprawę zupełnie osobistą, jakbym przytem sromał się daru z łaski, którym jest talent dany od przyrody. Nie przyznawał się więc do swoich utworów z krzywdą dla siebie i dla literatury. Od pewnego czasu jednak, gdy pieczęć tajemnicy już zdjęto [2]), nie ma powodu wyłączania tych pozycyj

[1]) Wystawa Podhalańska. Lwów 1911. Przedmowa, s. 4.

[2]) Ujawnił ten fakt St. Pieńkowski w r. 1928 w „Gazecie Warszawskiej" Nr. 321, pisząc o utworze Jana Pawlikowskiego (syna) p. t. „Bajda o Niemrawcu".

z bibljografji Pawlikowskiego. Bez uwzględnienia ich ja np. nie mógłbym się kusić o napisanie choćby takiej jak ta charakterystyki portretowej. To są właśnie oczy w portrecie.

W druku, o ile wiem, pojawiło się tylko kilka utworów Pawlikowskiego [1]: znam sześć utworów wierszowanych oryginalnie, dwa tłumaczone i jeden wspaniały poemat prozą: Trygław.

Bajka o Trygławie jest dla mnie arcydziełem prozy poetyckiej. Daje ona doskonałe pojęcie o tem, gdzie sięga i obraca się wyobraźnia Pawlikowskiego, kontemplującego w przyrodzie zawsze — duszę ludzką. Jest to baśń o duszy, która zwątpiła o sobie i samokalectwem sama się w potędze ograniczyła.

W postaci mitycznej Trygława Pawlikowski ucieleśnił widmo psychologicznie ujęte potęgi duchowej, obdarzonej wiedzą trzech bytów: teraźniejszego, przeszłego i przyszłego. Byty te w tej uczłowieczonej potędze reprezentowane są

[1] Mianowicie: Trzy Sonety: Rumak, Rzeka i Szarą godziną w „Lamusie" z r. 1909, Kwiaty zdradliwe „Lamus" 1912, s. 66. — Gdy luty mnie oduje wiatr. „Wierchy" I 1923, s. 192. — Odeszła mnie dusza. „Wierchy" III 1925, s. 118. — Trygław, baśń. „Lamus" IV 1913, s. 3. Ten ostatni utwór jest prozą. — Przekłady z Fr. Ruckerta i W. Jordana. „Myśl Narodowa" 1925, Nr. 12. — Wszystkie te utwory noszą podpis: J. B. K.

w trzech głowach na jednym korpusie. Głowa złota, poetycka, sięgająca świadomością w kręgi metafizyczne, nie umiejąca godzić się z obecnością, oderwała się w przestwór w czas burzy. Głowy, wspominającej to, co było — nie było, Trygław postanowił sam się pozbyć i dopóty tłukł nią o skały w górach, aż odpadła w przepaście. Wtedy zrodzone z żywiołów bóstwo przestało się z niemi rozumieć i szalejąc z pustki, zaczęło zazdrościć szczęścia zwykłemu śmiertelnikowi, któremu nie można wytłumaczyć, że szczęście jest złudą, bo dla niego właśnie złuda jest szczęściem. Spotkanie Trygława z filozofem, który w tej wszechności reprezentuje świat ludzki, wywołało w poecie wybuch dobrego humoru. Komiczność tej figury książkowej, popychanej przez mądrą kozę i popisującej się przed Trygławem wiedzą o bycie, nie ma sobie nic równego w polskiej poezji.[1])

Dla moich celów, gdy chodzi o charakterystykę osobistą autora, najprzydatniejsze są utwory liryczne, odsłaniające wnętrze, tak starannie ukryte nawet w artyście. Biorę oto najpierwszy

---

[1]) Dowiedziałem się od autora, że pomysł „Trygława" miał już w młodości, ale nie wiele z niego zostało w utworze wykończonym. Niedawno poznał dzieło Orkana „Drzewiej" (1913) i uderzony był podobieństwami pomysłu. Skłonny jest przypuszczać i u siebie i u Orkana wpływ Boecklina.

ze znanych mi wierszy, sonet „Kwiaty zdradliwe", aby pokazać na tym doskonałym przykładzie wysiłku artystycznego, jak schwytany tam jest świadomością stan jego. Uczuwszy potrzebę, pod wpływem wzruszenia poetyckiego, utrwalić swój stan, puszcza myśli na wolność i patrzy w siebie, jak się te myśli kojarzą z uczuciem i przeobrażają w świadomość uczuciową, a potem w artystyczną; jak ze słów, które niby pod klawiszami wyskakują skądś z podświadomości, układa się sonet; a gdy wreszcie świadomość ogarnęła najosobistszą kryjówkę jaźni, jak zareagował nawet somatycznie... Czytajmy:

Myśli zmęczonych pszczoły puściłem na wolę
Z waru ciemnego ula. Już lecą błyszczące,
Gdzie do łąk ukwieconych uśmiecha się słońce —
Matka, śliczne swe dziecię niosąca w podole.

Społem — kołem — parami — to znowu w rozłące
Gonią się — stronią — dzwonią, to w górze, to w dole
Myśli pszczoły, niewinną swą czyniąc swawolę,
W iskry złote zatlone na tej miodnej łące.

Na kunsztowny sonetu zlep dają swe miody
Słów kwiaty, wonie wspomnień, zwidy, czucia, zmysły...
Nie wiesz, skąd ci plon jaki zbogaci te gody...

Myśli pszczoły nad kwiatu kielichem uwisły,
Ciekawe, co znów rymu wyciągną niewody?...
A w tem twarz mi pobladła — a z oczu łzy trysły.

To głębokie wynurzenie osobiste, które tylko artysta może uczynić, ilustruje moją tezę, poprzednio postawioną, że stosunek uczuciowo-czynny Pawlikowskiego do przyrody, wyrażający się w jego studjach i działaniach społecznych, zawdzięcza swoją podnietę afektową nie samemu procesowi poznawania świata zewnętrznego, jak to Pawlikowski przedstawia, lecz procesowi innemu, który można nazwać procesem poznawania wewnętrznego swojej własnej przyrody. Zanim uczucia podziwu i uwielbienia na rzecz przyrody stały się motorem zawierania takiego czy innego (poznawczego czy czynnego) stosunku do przyrody, były one wpierw w stanie surowym w zmysłach *(in sensu)* i tam znalazłszy kontakt ze świadomością (która jest poznaniem stanów wewnętrznych), miały już swoje życie swoiste jako wzruszenia natury estetycznej. Tamto głębokie wzruszenie — a nie dopiero poznanie umysłowe — predysponuje stosunek do świata zewnętrznego, nadaje mu koloryt i temperaturę.

Sonet powyższy ilustruje scenę, która się odbywa między świadomością a owym stanem wzruszenia sam na sam, bezpośrednio, z pominięciem ogniwa czynnych uczuć, wytworzonego przez kulturę w atmosferze społecznej. Jest to zdarzenie w życiu duchowem osobiste, w którem się streszcza w esencję osobistość. Jednostki wysokiej kul-

tury, jak Pawlikowski, w tem sam na sam ze swoją naturą nie knują spisku przeciwko kulturze, ale folgując osobistej rozkoszy, pragną ten stan utrwalić i w tym celu ze swego daru poznania i woli czynią świadomość artystyczną — utrwalają ten stan w sonecie.

W sonecie powyższym przedstawiony jest w przepięknym skrócie ten proces psychologiczny. Świadomość intelektualna puszcza „na wolę" zmęczone myśli, żeby spoczęły bezpośrednio na kwieciu dostępnem zmysłom. Wtedy budzi się wszystko to, co zmysły kiedykolwiek zapamiętały, budzą się „wonie wspomnień, zwidy, czucia, zmysły". A kiedy człowiek znajdzie się sam na sam z temi zmysłami, wtedy na dnie wszystkiego ma już tylko łzy po utraconej łączności z przyrodzeniem.

I oto widzimy przekrój jednostki duchowej na wysoką miarę kultury. Na spodzie duszy, która z siebie przez kulturę dziedziczną i osobistą zrobiła maksymalny użytek społeczny, szerokiem rozpięciem intelektu i woli obejmującej świat cywilizacji, gdy ją streścić przez zetknięcie z jej początkiem, pozostaje w wyniku: kropla łzy. Ale to warte trudu, jaki poniosły dzieje duszy, żeby stworzyć swój świat osobny. Te łzy poetów są brylantami w koronie cywilizacji.

VII.

Przez dotarcie do tego najgłębszego lirycznego Ja człowieka określiliśmy pion zasadniczej jego postawy. W tak pełnej odmianie indywidualności kulturalnej linja jaźni jest zarazem linją rodzimości. Tę linję uważam za wskaźnik udatności typu cywilizacyjnego. Widzimy, że dąży ona bez skrzywień przez całą istność duchową; przerzucona na myśl i działanie, jest osią całej misternej struktury kulturalnej Pawlikowskiego, którą dźwignął organicznie ze swoich przyrodzonych podstaw. Intelektualna budowa Pawlikowskiego jest przepojona jego jaźnią we wszystkich czynnościach. Poezja jego, płynąca z daru przyrodzonego, nie da się oddzielić od dalszego ciągu człowieka i harmonizuje ze środowiskiem. Tem środowiskiem jest dla każdego atmosfera jego narodu. Człowiek jest wtedy dopiero „kulturalny", kiedy głowę jego można wrysować w tło historycznej cywilizacji w sposób harmonijny, żeby się widziało — on jest stąd, tu potrzebny i niezbędny.

Pawlikowski należy do najbogatszych odmian wysokiej kultury. A za wysoką trzeba uważać tę, która uzdatnia jednostkę do odgrywania roli kierowniczej w systemie cywilizacyjnym narodu. Pawlikowski jest stylowym Polakiem swojej epoki,

jednym z tych, którym powierzyć można twórczość narodową bez obawy, że styl jej popsują.

Dusza jednostki twórczej jest mikrokosmem swego świata cywilizacji, do której należy choćby dla tego, że sama jest przezeń stworzona. Świat ten jest całością z połączenia ducha i danej narodowi przyrody (w ziemi i ludziach). Człowiek prawdziwy musi być wierny swym darom przyrodzonym i z nich organicznie swój byt duchowy rozwijać, tak samo jak naród, którego dzieje są twórczością, snutą z podstaw przyrodzonych.

W głębi wszystkiego jest ziemia, skąd nasz ród; a linja dziejów pokrywa się z linją rodzimości. W poczuciu rodzimości tkwi jaźń narodu, a jego świadomość historyczna jest linją, którą ta jaźń za sobą znaczy. Zanik poczucia rodzimości czyni przerwy i załamania w tej linji katastrofalne dla dziejów.

Człowiek oświecony (kulturalny) jest odpowiedzialny za tę linję — to się wie jakby z przysłowia, ale jak to zrozumieć, jeśli się nie zobaczy, że dla tego tylko człowiek ten odpowiedzialność podobną może ponosić, że w zasadzie na tych samych prawach jest zbudowany. Świadomość osobista idzie też po linji historycznej przeżyć i sięga niejasnego początku jaźni, zaledwie oddzielającej się od świata zewnętrznego wrażliwością na to, co

„nie ja" i stanowiącej najgłębszą osobistą kryjówkę indywidualności.

Dyspozycje psychiczne oglądania się w przeszłość są tak silne i decydujące w sprawie rzutowania jaźni przed człowieka (w przyszłość), że wprost zlewają się z psychiką ruchową. Gdy chodzi o sprawy bytu i ogólniejszej orjentacji, fakt ten występuje zupełnie wyraźnie. W chwili niebezpieczeństwa utraty życia podobno błyskawicznie staje przed oczy przeszłość; gdy naród jest w trosce o byt zachwiany, to jak pamiętamy, wyobraźnia przestaje przebijać zasłonę przyszłości (nawet przestawała interesować obecność bytu narodowego), wzrok kieruje się ku przeszłości. Na myśl o walce stawały obrazy przeszłości, do której musimy powrócić, aby odzyskać potęgę.

Podobnie rzecz się przedstawia z tęsknotą do przyrody. Gdy chcemy przerwać odgrodzenie od niej, wytworzone przez zacieczenie się w kulturze tworzonej, wtedy nie wołamy: a więc naprzód — do przyrody, lecz powiadamy: wracajmy do przyrody. Chociaż przecie kto inny odszedł, a kto inny miałby „wracać". Pochodzi to stąd, że przyrodę widzimy na linji historycznej, jako pierwszy punkt wyjścia, z którego poczęliśmy niegdyś swój rozwój jako gatunek, nawet jako rodzaj.

Oba te wątki instynktów, decydujących o naszym stosunku do narodu i do przyrody, są wciąg-

nięte do psychiki twórczości cywilizacyjnej. Ale ten drugi, sięgający pamięcią źródeł przyrody, różni się tem od pierwszego, że nie jest wytworem psychiki społecznej, lecz własnością przyrody osobnika. To jest jego własność osobista, powiedziałbym, źródłowo-poetycka.

Indywidualność Pawlikowskiego jest tem bogatsza, że tak głęboki ma fundament, bo aż w oparciu o uświadomiony instynkt przyrody. Dlatego jest rzecznikiem odrodzenia cywilizacji przez ożywienie momentu przyrody, która do niej wchodzi, że sam odnalazł z nią styczność w sobie jako poeta. Cywilizacja, którą tworzymy, musi mieć ten polot poetycki w sobie — inaczej nie będzie w niej miejsca na najwyższe dobra kulturalne. Ów pierwiastek estetycznego instynktu (czy się z niego robi użytek na rzecz sztuki, czy nie — to sprawa osobna) wchodzi w skład wszystkich czynności ducha w charakterze idealizacyjnym. U Pawlikowskiego widzieliśmy go we wszystkich jego działaniach. Całe jego poczucie historyczne przeniknięte jest tym pierwiastkiem poetyckim.

Pamiętam wrażenie, jakie na mnie zrobił odczyt Pawlikowskiego w r. 1908 na uroczystym obchodzie 3 maja w sali ratuszowej Lwowa. Uproszono go o przemówienie jako polityka, prezesa największego stronnictwa. Oczekiwano mowy stereotypowej, dewocyjno-pedagogicznej, operującej

hasłami „tromtadratycznemi" i demokratycznemi, tudzież aluzjami do położenia obecnego. Pamiętam zdziwienie słuchaczy, kiedy mówca w pięknym obrazie poetyckim zagaił rzecz o uroku, jaki wywiera „pamiątka". Opisywał wyciągniętą ze starego biurka szufladę, z której dochodzi z wonią pożółkłych papierów pamięć rzeczy dawnych; opisywał, jak ta pamięć wskrzesza, jak czarodziejsko czyni z przeszłości obecność i poucza, że duch narodu ma życie ciągłe, nie znające czasu. Wizja poetycka Polski dawnej dokonała więcej wśród słuchaczy, niż kwiecista mowa programowa. Stamtąd widzieliśmy nędzę obecności i dalekie w przyszłość perspektywy. Ożyła Polska konkretnie. Nie była to już figura logiczna ani polonistyczna, lecz Polska żywa, którą trzeba widzieć oczyma duszy, aby dla niej coś robić.

Zasadniczym rysem kultury Pawlikowskiego jest to, co nazwałbym jej samowładnością. Nie szedł, wytwarzając z siebie wartości cywilizacyjne, w kierunku najłatwiejszym, wypracował w sobie siłę poznania i woli, aby dać z siebie *maximum* użyteczności. Nawet wtedy, gdy wszedł potem na teren dla siebie najbliższy: poezji, to robi ze swojego z nią obycia użytek naukowy. Ukradkiem zaledwie pozwala sobie na twórczość własną, raczej dla próby. Widzę w tem moc przezwyciężenia.

W gruncie rzeczy Pawlikowski wiele ma wspólnego ze Słowackim, który także widzenie poetyckie uznawał za środek poznania. Odgraniczył się od mistycyzmu rogatkami poznania doświadczalnego, ale w tym zakresie wabiły go tak samo rozkosze poznania „genezyjskiego". W komentarzu swoim do „Króla Ducha" Pawlikowski sam się przyznaje do tej dyspozycji: „Chcąc to dzieło zrozumieć, trzeba poznać jego genezyjską podstawę, ów grunt, na którym wyrosło, a chcąc je odczuć, trzeba wejść w tę atmosferę, którą oddychał jego twórca. Nie jest to rzeczą łatwą i być może bez pewnych indywidualnych predyspozycyj wogóle nieosiągalną" [1]).

W tem przezwyciężaniu swojej przyrody, swojego najgłębszego Ja na rzecz twórczości społecznej widać charakter i styl, wierny tradycjom łacińskiej cywilizacji.

Dla podcieniowania tła portretu dodam jeszcze jedną refleksję. Hodowla inteligencji, uwzględniająca z natury rzeczy przedewszystkiem kulturę zdolności poznawczych, bardzo sprzyja uwrażliwianiu jednostki na przejawy piękna. To, co nazywamy rafinowaniem wrażliwości i smaku, jest rezultatem emancypowania władz poznawczych z ogólnego życia psychicznego. To, co w stanie

[1]) Król Duch. T. II (Komentarz), s. 91.

pierwotnym było jakiemś ogólnem odczuwaniem świata, z którego umysł nie umiał wydzielić własnej jaźni i tę rzutował antropomorficznie na zjawiska, — w miarę postępów kultury „rafinuje się" przez oddzielanie poznawania objektywnego (naukowego) od stanów poznawczych subjektywnych (nastrojów, zwidów, odczuć zmysłowych). Wyostrzone władze poznawcze zwracają się ku wnętrzu swego życia duchowego i odnajdując objektywnie te stany dotąd podświadome, dają im od siebie świadomość estetyczną (artystyczną).

Ponieważ w każdym człowieku jest na spodzie coś, co go robi „poetą", więc bardzo łatwo spostrzec w szkołach, gdzie się fabrykuje inteligencję, że młodzież traci głowę i nie wie, co wprzód robić: czy się uczyć, czy pisać poezje. Bo obie te dziedziny jednocześnie przez uprawę intelektu są wzruszone. Tu więc — zwłaszcza w społeczeństwach świeżych, gdzie pokłady przyrodzone w jednostce nie leżą zbyt głęboko pod warstwą uprawioną, — umysłowości grozi zalew wynurzeń poetyckich bez wartości humanistycznej.

Kultura rozwija się normalnie tam, gdzie usiłowania hodowli powszechnej i osobistej skierowane są na rozwój władz poznawczych przedmiotowych i wolowych, ku wiedzy i działaniu. Na poetów nie trzeba pracować. Oni się rodzą sami. Poeta, w znaczeniu artysty, prze-

bija się sam i taki tylko zdobędzie miejsce w sztuce, który będzie miał tę wysoką kulturę duchową. Talentowi trzeba dać człowieka, a tego się robi przez kulturę umysłu i charakteru. Żeby mieć wielką sztukę, trzeba mieć wysoką klasę człowieka kultury, trzeba mieć wielki styl.

Pawlikowski nie uprawiał poezji. To, co ogłosił, to na próbę dla siebie w późniejszym wieku. A dlaczego ona jest tak niepospolicie piękna? Bo się do niej dotknął człowiek wysokiej kultury, mający wiele do powiedzenia o swojej duszy.

Trzeba naprzód byś czemś, żeby być kimś. Niema hodowli poetów. Są ludzie z pełną kulturą. Jeśli ich stać na artyzm — Bogu dzięki. A jeśli nie, ich poezja odnajdzie się w dziełach żywych z tem większą siłą, im mniej się jej spalało na popis zewnętrzny.

Jeśli duchowość człowieka kulturalnego wyobrazimy sobie w kształcie kolumny, wzniesionej na podwalinie jego darów przyrodzonych, to ta kolumna pełni rolę wieży ciśnień względem tych darów. Wartość talentu wzrasta w stosunku prostym do wysokości kultury.

W Pawlikowskim mamy typ ascety, przezwyciężającego życie uczuciowe myślą i pracą kulturalną. A przecież stać go na rozrzutność, bo ma w sobie duże bogactwa przyrodzone. W kulcie

przyrody, któremu się oddaje, są wszystkie pierwiastki kultu religijnego dla jej Stwórcy. Szkoła epoki, w której się hodował, dała hymnowi jego duszy swoistą formę. Ale i pod tym względem trzyma się stylu cywilizacji polskiej, mocno, organicznie w ziemię wrośniętej.

1929.

SPIS RZECZY

NAKŁADEM TOW. WYDAW. «PATRIA»

WYSZŁA KSIĄŻKA:

Joachim Bartoszewicz

ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ

TREŚĆ: Wstęp. Państwo narodowe. Ustrój federacyjny. Republika — monarchja. Ustrój władz. Sprawa mniejszości. Terytorjum i granice. Polski patrjotyzm.

CENA 3 ZŁOTE

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH W WARSZAWIE, KRAK. PRZEDMIEŚCIE 69.